czas. 2552/1982/2

W NUMERZE: Andrzej Burda - Nowa świadomość obywatelska ● Mirosław Derecki - Paderewski - ostatni akord ● Feliks Fornalczyk - Regionalne, to znaczy polskie ● Andrzej Twerdochlib - List z Gdańska
a ponadto ciąg dalszy dziejów Barbary Radziwiłłówny i J. U. Niemcewicza

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Rok założenia 1933

kamena

NR 2 (747) 25 kwietnia - 8 maja 1982 CENA 10 ZŁ

NA STARYM MIEŚCIE PO STAREMU...

Ireneusz J. Kamiński

LUBELSKIE Stare Miasto aż dudni od robót budowlanych i konserwatorskich. Na własne oczy widziałem wielką ładowarkę która z szybkością 40 kilometrów na godzinę przemykała ul. Złotą, powodując drżenie zabytkowych kamienic.

Na Starym Mieście, które w fazę swej materialnej i społecznej degradacji weszło już w XIX wieku, huczy zatem od roboty, a w styczniu to nawet zawaliła się jezdnia na ul. Grodzkiej, podkopana przez wodę z pękniętej kanalizacji.

Na Starym Mieście, gdzie historia swobodną dłonią połączyła w budynkach średniowiecze, renesans i barok, dbając przecież o specyficzną jednorodność wyrazową tej 10-hektarowej przestrzeni, a zatem na Złotej, Grodzkiej, Pola czy Klonowicza huczy tak mocno, że trudno w tych dźwiękach usłyszeć odpowiedź na pytanie, kiedy wreszcie doczekamy się końca prac rewaloryzacyjnych.

Kiedy w 1972 roku architekt Jadwiga Jamiołkowska opracowała miejscowy plan szczegółowy zagospodarowania przestrzennego a nieco później perspektywiczny program rewaloryzacji Starego Miasta, dokumenty mające być podstawą kompleksowej działalności sanacyjnej na tym obszarze, finał całego przedsięwzięcia lokalizując w roku 1990, sprawa wydawała się tak realna, że jeden z ówczesnych gospodarzy naszego miasta ogłosił skrócenie owego terminu do lat dziesięciu. Deklaracja wzbudziła pewną wesołość w kręgach fachowców, dobrze zorientowanych w skomplikowaniu sprawy, wymagającej m.in. wykwaterowania z zabytkowej dzielnicy kilkuset rodzin, ale ponieważ tego rodzaju obietnice były wówczas na porządku dziennym, szybko o niej zapomniano.

Tymczasem na Starym Mieście nadal rozwijano dawne pomysły, na rusztowaniach okalających elewacje niektórych kamienic pojawili się nawet lubelscy plastycy, by pokryć ściany malowidłami w „duchu epoki". Wkrótce okazało się, że historia nie jest nauczycielką życia, a ludzie nie uczą się na błędach: nowe freski i sgraffita pokryły miejscami jakoweś liszaje i zacieki deszczówki, kolo-

Dokończenie na str. 4

Żeby Walia była Walią

Jerzy Wieluński

LENIN powiedział, że „samostanowienie narodów nie może mieć historycznie i ekonomicznie innego znaczenia jak samostanowienie polityczne, niezależność polityczną, utworzenie państwa narodowego".

Historia potwierdza słuszność powyższych słów. Większość dawnych kolonii wywalczyła dla siebie niepodległość. Przestało istnieć Imperium Brytyjskie. Ale Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Północnej Irlandii jeszcze do dnia dzisiejszego nie przyznaje równych praw swoim obywatelom, a świadczy o tym położenie ludności narodowości nieangielskiej. W Północnej Irlandii, Wali, Kornwalii, Szkocji... przybierają na sile procesy zwane ogólnie „rewolucją etniczną".

Ulster, Kraj Basków, Bretania, Korsyka, Katalonia... Zachodnia Europa przypomina kocioł wypełniony wrzątkiem, albo jeszcze lepiej — etniczną Etnę.

Dokończenie na str. 8

Fot. Waldemar Stępień

Henryk Makarski

LIRYK MAJOWY

„...a teraz w pełnym świetle idę
otoczony rzeczywistością ze wszystkich stron"
(Konstanty Ildefons Gałczyński: „Droga")

powróciłem — kochanie — z dalekiej podróży
z kraju zamkniętych domów i zamkniętych dłoni
gdzie niedziela trwa wiecznie i czas się nie dłuży —
w rytmie wesołych gitar śpiew beztrosko płonie

powróciłem — kochanie — z dalekiej wyprawy
z dżungli oślepłych papug — krokodylich łez
z gniazda strusich doradców i proroków krwawych
z targowiska próżności rozdętej we mgle

powróciłem — kochanie — z dalekiej krainy
gdzie bój ostatni orła jastrzębiom się śnił
gdzie gorycza jałmużny zastawiony stół

przysuń się bliżej — miła — niech widma odpłyną
przysuń się bliżej — miła — pocałuj przez bzy
nim uschniesz jak ta flaga — rozdarta na pół

ni bielą ni czerwienią znaczona — przed lustrem
oglądasz w swoich oczach cudze prawdy puste

spójrz! łopot słońc majowych budzi nas ze snu

z notatnika

9.IV. Wyszedł już drugi numer „Przeglądu tygodniowego" redagowanego z rozmachem i tzw. pomyślunkiem. W tymże drugim n-rze zwróciłem m.in. uwagę na dwa interesujące teksty. Jeden pochodzi sprzed II wojny światowej i ukazał się on na łamach „Wiadomości literackich". Jerzy Michałowski dokonał tam interesujących wyliczeń statystycznych. Śladem tym poszedł Michał Bołtryk, pokazując, co się zmieniło po latach. Klarowność obrazu mąci jednak fakt, że od 1975 r. prawie wszystkie dane statystyczne gromadzone są w odniesieniu do całego województwa stołecznego warszawskiego bez wyodrębnienia miasta Warszawy.

Ale posłuchajmy.

Przed wojną: 98 tys. mieszkańców Warszawy w wieku ponad 10 lat nie umiało czytać i pisać, obecnie — 4066.

Przed wojną: 5893 samochodów osobowych jeździło po ulicach stolicy, obecnie (dane z 31 grudnia 1980 r.) — 250 599.

Przed wojną: Warszawa wypijała rocznie 95 milionów litrów mleka, obecnie (dane z 1979 r.) — 175 mln litrów.

Przed wojną: 50,9 proc. wszystkich druków nieperiodycznych i 91,4 proc. nut wychodziło w Warszawie, obecnie — 89,1 proc. (w tym i nut).

Przed wojną: 30 409 przestępstw zanotowano w 1937 r. w Warszawie, w tym 69 morderstw i 17 420 kradzieży, obecnie (1979 r.) — 25 994 przestępstwa, w tym 45 zabójstw i 18 379 kradzieży.

Na jednego mieszkańca przypadało przed wojną: 0,002 lekarza, 0,0001 apteki, 0,1 radioodbiornika, 1000 papierosów rocznie, 153 przejazdy tramwajowe rocznie, 17,5 autobusowych, 7,6 egzemplarza druków nieperiodycznych rocznie, a obecnie: 0,00356 lekarza, 0,000099 apteki, 0,331 radioodbiornika, 3481 papierosów rocznie, 406 przejazdów tramwajowych rocznie, 548 — autobusowych, 85 egz. druków nieperiodycznych rocznie...

I tak dalej, i tak dalej. Co z tych liczb wynika? Przede wszystkim to, że obaj autorzy tekstów musieli się solidnie natrudzić przy zbieraniu materiałów. Że postęp cywilizacyjny jest widoczny, to zrozumiałe, ale jednocześnie charakterystyczny jest fakt, że liczba przestępstw pozostała mniej więcej na tym samym poziomie... A koncentracja prasy w Warszawie zwiększyła się!

Ciekawe, gdyby podobnych porównań dokonać na przykładzie Lublina... Byłaby to praca benedyktyńska, bo trzeba by też odtwarzać na podstawie statystyk dane sprzed wojny. Dziennikarza, który tego mógłby się podjąć, nie widzę między nami. Jerzy Dostatni, niestety, nie żyje...

10.IV. „Kamena" nie ukazywała się, kiedy „Kurier Lubelski" przy końcu marca obchodził swoje ćwierćwiecze. Nieco późno należy jednak ten fakt odnotować, bo do lubelskiej popołudniówki mam duży sentyment. Z przyjemnością też stwierdzam, że jest to gazeta interesująca, tworzona z myślą o czytelniku, mająca ciekawe inicjatywy i dość zgrany zespół. Pod nowym kierownictwem — Włodka Wójcikowskiego, Andrzeja Szwabego i najmłodszego z rodziny dziennikarskiej Mikulskich — Cezarego — zręcznie omija rafy, starając się godzić naukę z rozrywką. „Kurier" nie stroni od tematów trudnych i szuka dla nich przystępnej formy. Przyszły historyk na podstawie lektury poszczególnych numerów będzie mógł wyrobić sobie pogląd na życie miasta A. D. 1982. Poprzednich lat zapewne również, aczkolwiek nie zawsze to spojrzenie w przeszłość będzie dla niego zbyt optymistyczne...

Jakże śmiesznie muszą dziś wyglądać ci, którzy przed 25 laty wróżyli drugiemu dziennikowi w Lublinie najzwyklejszą plajtę. Ale ilu ich żyje jeszcze dzisiaj...

13.IV. Hawkins Maiden Land, Wyspy Sebalda, Falklandy i wreszcie Malwiny, w sumie mowa o tym samym. Wyspy, które ostatnio stały się tak głośne, odkrył w 1592 r. Anglik, kapitan John Davis. Dwa lata później wylądował na jednej z tych wysp sir Richard Hawkins, nadając im nazwę od swego nazwiska. Nie przejął tym się wcale holenderski żeglarz, Sebald von Veert, który w 1598 r. przepłynął obok nich i ochrzcił je na nowo jako Wyspy Sebalda.

Minęło prawie sto lat i w 1690 r. angielski kapitan, Strong, przepłynął przez cieśninę rozdzielającą dwie główne wyspy, nazywając ją Cieśniną Falklandzką. Miało to stanowić uczczenie pamięci lorda Falklanda, podskarbiego brytyjskiej floty, który zginął w tym rejonie w 1643 r. Z czasem cały archipelag zaczęto nazywać Falklandzkim.

Konkurencyjna nazwa — Malwiny (od francuskiego Malouines) pojawiła się po roku 1710, kiedy to załoga francuskiego statku naniosła wyspy na mapy. Nazwa ta przyjęła się w krajach łacińskich, a zwłaszcza w Argentynie, która na początku XIX wieku władała Falklandami-Malwinami. Od 1833 r. Falklandy stały się kolonią brytyjską. Spór o wyspy między Argentyną a Wielką Brytanią trwa przez lata. 2 kwietnia br. Argentyna dokonała niespodziewanego desantu zbrojnego, obalając rządy kolonizatorów.

Cóż jest takiego nadzwyczajnego na tych małych wysepkach, które w sumie zajmują nieco ponad 12 tys. kilometrów kwadratowych?

Przede wszystkim ich położenie. Kto posiada archipelag, ten kontroluje południowe przejścia z Oceanu Atlantyckiego na Ocean Spokojny. Poza tym — ropa naftowa. Zasoby ropy wokół wysp nie są dokładnie zbadane, ale sądzi się, że są one niebagatelne.

Może się jednak nasuwać pytanie, dlaczego właśnie teraz Argentyna z taką mocą upomniała się o wyspy? Wytłumaczeniem są zapewne sprawy wewnętrzne tego kraju. Rząd ogranicza swobody obywatelskie, utrzymuje bezrobocie, a jednocześnie popiera zagraniczne koncerny. Powoduje to niezadowolenie społeczne. Zajęcie Falklandów-Malwin odwraca zainteresowanie problematyką ściśle wewnętrzną, wzbudza dumę narodową i... ukonkretnia przeciwnika.

Jak się należało spodziewać, każdy kij ma dwa końce: wśród Argentyńczyków wzmogło się poczucie dumy, a wśród Anglików ta duma narodowa została boleśnie zraniona. Stąd taka silna reakcja rządu pani Thatcher, która dobrze wie, że jej władza może zawisnąć na włosku.

Dalszy rozwój wydarzeń znamy i znać będziemy z codziennej prasy, sytuacja jest płynna: Stany Zjednoczone prowadzą mediacje w Buenos Aires i w Londynie, generał Haig krąży po świecie, wiedząc w jak niezręcznej sytuacji stawia ten konflikt same Stany Zjednoczone, którym zależy na obu stronach i dlatego muszą prowadzić bardzo delikatną politykę. Do czego to wszystko doprowadzi, powinniśmy się przekonać w najbliższym czasie.

Moja osobista sympatia — jeśli to kogokolwiek interesuje — jest po stronie Argentyny. Niezależnie jednak od takich czy innych odczuć, wydarzenia w tym rejonie kuli ziemskiej wykazują, ile potencjalnych konfliktów kryje się pod różnymi szerokościami i długościami geograficznymi. Kto się jeszcze przed miesiącem spodziewał, że spór o Falklandy-Malwiny w relacjach prasowych zepchnie na drugi, trzeci plan wydarzenia, które ciągle znajdowały swe odbicie na czołówkach gazet? I kto z nas jest w stanie przewidzieć, jaka burza i GDZIE może rozpętać się jutro? Współczesny świat jest bardziej skomplikowany niżby to na pozór mogło się wydawać. I mylą się ci, którzy chcieliby go widzieć tylko w dwóch kolorach, powiedzmy — białym i czerwonym...

14.IV. Stało się to, co można było przewidzieć. W ramach sprzedaży wiązanej chłopi dostarczyli żywiec za 19 mld 860 mln złotych. Gdyby — pisze „Rzeczpospolita" — przestrzegano przyjętej proporcji 1:5, pod którą bilansowano dostawy z przemysłu, zobowiązania handlu nie przekroczyłyby 5 mld zł. Najczęściej jednak przyjmowano w poszczególnych województwach relację 1:3, a nawet... 1:1. W sumie sprzedaż wiązana objęła więc towary o wartości ok. 8 mld zł. Zaległości handlu szacuje się więc na dzień dzisiejszy w wysokości ponad pół miliarda złotych.

Pół miliarda złotych dla państwa nie jest kwotą oszałamiającą, ale kiedy jeszcze teraz w niektórych sklepach witają nas wywieszki, informujące, że towar można kupić tylko za żywiec, psuje to wśród mieszczuchów wiele krwi. Oczywiście mieszczuchy nie pamiętają, że zaopatrzenie w mięso uległo poprawie... Wszystkim dogodzić jednak nie sposób. Rolnik sprzedał żywiec i chce kupić określony towar, a tym określonym towarem raczej nie jest czarno-biały telewizor. Z kolei ktoś chce kupić telewizor, a dowiaduje się, że telewizor może nabyć rolnik okazujący się zaświadczeniem Banku Gospodarki Żywnościowej. I to po starej cenie. Bywa więc tak, że rolnik nie kupuje telewizora, ale sprzedaje zaświadczenie zarabiając różnicę między jego starą a nową ceną. Obie strony są niby zadowolone, ale wzajemne urazy pozostają.

Jak długo będziemy wszyscy uczyli się na błędach?

15.IV. We wczorajszych rozgrywkach ligowych Motor wygrał wreszcie w Lublinie z Gwardią, z którą to kiedyś tak rywalizował o wejście do ekstraklasy. Niestety, Bałtyk zremisował na wyjeździe z Legią, a Ruch wygrał u siebie z Pogonią — rewelacją rundy jesiennej. Słabą pociechą jest porażka Arki (w Gdyni) ze Śląskiem Wrocław. Motor i Arka z tą samą liczbą punktów zamykają tabelę — trener Waligóra w dalszym ciągu nie ma powodów do — nawet — ostrożnego optymizmu. Ale ów ostrożny optymizm może (cicho!) wyrażać trener Piechniczek: Włochy przegrały z NRD, z którą to drużyną Polska wygrała ostatnio dwukrotnie. Mimo wszystko nie należy jednak zapominać, że w towarzyskich meczach też braliśmy baty, a kiedy przyszło grać o wysoką stawkę nasi wspinali się na wyżyny swych umiejętności. W Hiszpanii może więc zdarzyć się różnie choć tym razem po ewentualnych remisach nie będzie zapewne oficjalnych depesz gratulacyjnych...

M. A. Jaworski

PRZECZYTALIŚMY - PRZECZYTAJCIE

„Jestem przeciwny tej dychotomii: władza z jednej strony, społeczeństwo — z drugiej. To tradycyjny nawyk polskiej mentalności. Każda władza jest emanacją pewnych cech ogólnospołecznych. Wobec tego mówienie o tym, że władza odzyska zaufanie społeczne, mija się z celem. Władza będzie taka, jakie będzie społeczeństwo i vice versa. Interesu państwa nie można realizować na zasadzie konkursu piękności. Profesor Jan Szczepański napisał trzy lata temu takie ponure zdanie, że w historii nie było jeszcze rządu, który Polacy bez wyjątku darzyliby zaufaniem i szanowali. Nie sądzę, żeby z punktu widzenia interesów państwa najważniejsze było to, czy wszyscy są ładnie uczesani i czy każdy minister z osobna cieszy się sympatią. Nie chciałbym, żeby w moich ustach zabrzmiała kompletna dezynwoltura i brak wszelkiego zainteresowania do tak zwanego wizerunku władzy. Ale, wie pan, kiedy człowiek musi się poddać operacji, bo ja wiem, wyrostka robaczkowego, przeżywa najpierw okres ostrej niechęci do lekarza, a dopiero później rozwija się w nim wdzięczność. Jest to może porównanie dość prymitywne, ale jednak zgodne z pewnego rodzaju prawidłowością socjologiczną. Myślę, że nadeszła w końcu pora, żeby Polacy wylali na siebie kubeł zimnej wody. To dotyczy zarówno mrzonek o drugiej Japonii, jak i dotyczy naiwnych wyobrażeń, że ten naród nie dojrzał do żadnej samorządności na zasadzie frontowo-awangardowej stylistyki, która znakomicie — nawiasem mówiąc — sprawdziła się w Polsce w latach pięćdziesiątych. Wtedy innego wyjścia dla Polski nie było. Dziś Polska jest innym krajem, o innym przekroju społecznym, poziomie wykształcenia... [...] Spójrzmy na rozmaitych kawiarnianych inteligentów „przejętych do głębi i wstrząśniętych haniebnym naruszeniem praw człowieka w Polsce". Są to ludzie, którzy nigdy buzi nie otworzyli na przykład w sprawie Wietnamu. A teraz widzą całe zło skoncentrowane w Polsce i z obrzydzeniem odwracają się. Już raz w Polsce tak było w pierwszych latach powojennych. Otóż, jeśli dalej będą stali odwróceni, to szybko okaże się, że nieobecni nie mają racji. Nie widzę żadnego innego rozwiązania dla Polski, niż takie, że ktoś to musi zrobić.

Jeśli istnieje wśród ludzi lęk przed powrotem do lat pięćdziesiątych, to chciałbym zapytać ich wszystkich, czy dokładnie pamiętają na czym polegały te lata pięćdziesiąte? Nie wyobrażam sobie, żeby podstawowe parametry społeczno-polityczne lat pięćdziesiątych mogły zostać reaktywowane. Jest to po prostu brednia! (Z wywiadu przeprowadzonego przez przedstawiciela **„GŁOSU SZCZECIŃSKIEGO"**, **Krzysztofa Matlaka**, z mjr. **Wiesławem Górnickim**, doradcą premiera PRL).

„...idzie oto fala — co ja mówię — toż to potop! — nowych cen, którą trudno w tej chwili ogarnąć. Na nic kołonotatniki w kratkę. Co z tego, że wiem, ile wydaję. Ważniejsze, iż dowiaduję się nagle, ile mi brakuje. Słucham i czytam więc z nadzieją o pracach przeróżnych komisji, klubów i federacji konsumentów (tu też grozi inflancja!), które biorą nas w obroty przed apetytami samorządnych przedsiębiorstw. [...] Gdy tak obserwuję nowe ceny i dyskusje wokół nich, zastanawia mnie fakt milczenia wspomnianych federacji na temat książek. Wiem, wiem — nie czas żałować róż itd. Przecież nie zrezygnowaliśmy, ni stąd ni zowąd, z ambitnych założeń „książki dla każdego", zwiększenia jej nakładów o 25 proc., edukacji kulturalnej socjalistycznego społeczeństwa i czegóż tam jeszcze. [...] Wydawnictwa poszły na całość — rozpowszechniają książki na fatalnym papierze, książki, które poświadczają, niemal całkowicie, upadek rzemiosła edytorskiego — podwyższyły ich ceny bez umiaru i zastanowienia. A — o ile pamiętam — mówiło się o preferencjach — a to o ochronie książek dla dzieci i młodzieży, książek o charakterze podręczników etc. Panowie, cofamy się w średniowiecze, kiedy żeby kupić książkę, trzeba było sprzedać wieś! A kto dzisiaj ma wieś?" (**Grzegorz Gazda, „ODGŁOSY"**).

KRONIKA

• 6 kwietnia prezydium OKON lubelskich środowisk twórczych spotkało się z władzami województwa. Omówiono wiele skomplikowanych problemów o charakterze materialnym, organizacyjnym i modelowym ze sfery kultury, m.in. kwestię kontynuowania budowy gmachu teatru (być może znajdzie się w planie inwestycji centralnych) oraz zatrudnienia absolwentów wychowania plastycznego UMCS, którzy mają poważne trudności z uzyskaniem etatów w szkolnictwie, choć dla potrzeb tychże placówek są kształceni.

• Około 1000 tokarzy, frezerów, ślusarzy, spawaczy, mechaników, odlewników itp. fachowców przyjmą natychmiast do pracy fabryki Lublina i Świdnika. Na wykwalifikowanych robotników czekają także inne zakłady produkcyjne oraz PKP, które mogą zatrudnić około 100 osób. Niełatwo natomiast o pracę dla „umysłowych".

• Instytut Wychowania Artystycznego UMCS przedstawił dorobek studentów wychowania plastycznego w zakresie malarstwa, rzeźby, grafiki i formowania otoczenia. Obok rzeczy dobrych zobaczyliśmy kiepskie — jak to zwykle bywa na tego typu pokazach. Nie ulega wszakże wątpliwości, że cały dorobek tego kierunku, obejmujący również prace magisterskie z zakresu historii sztuki i pedagogiki, powstaje w warunkach wręcz chałupniczych. Pierwsze posiedzenie Senatu UMCS odbyło się co prawda na beczkach, ale było to dawno — w 1944 roku — i kontynuowanie takiej tradycji nie powinno nikogo radować.

• Od pięciu lat wznoszony jest w Hubieszowie tzw. Dom Przyjaźni, w którym zamierza się umieścić centrum kulturalne miasta o niekiepskich tradycjach. Od dłuższego czasu trwają prace remontowo-budowlane w budynku byłego szpitala miejskiego w Puławach, w którym tamtejsze PTTK widzi muzeum regionalne w przyszłości — nareszcie proporcjonalne do bogatej historii dawnej siedziby Czartoryskich. Zakończenie obu przedsięwzięć wymaga jednak pieniędzy, których — oczywiście — brakuje. Czy wszystkie kłopoty można jednak, przede wszystkim w Hrubieszowie, wytłumaczyć kryzysem?!

• Odczuwając permanentny brak materiałów ściennych, kraśnickie przedsiębiostwo remontowo-budowlane kupiło dwie cegielnie, których zdolności produkcyjne oblicza się na cztery miliony sztuk cegieł rocznie. Jak widać, reforma gospodarcza zaczyna wyzwalać w ludziach coś pożytecznego i teoretycznie oczekiwanego: inicjatywę.

• W Lublinie wprowadzono na urząd (1 kwietnia) nowego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Nie działał on dotąd w tej skomplikowanej dziedzinie, wymagającej wielkiej fachowości, odwagi i energii, więc pozwalamy sobie na zwrócenie jego uwagi na pewien obiekt w Dąbrowicy, dobudowany niedawno — za zgodą poprzedniego konserwatora — do zachowanego fragmentu dawnej rezydencji Firlejów, co cuchnie nieporozumieniem.

• Staraniem oddziału BTZ PTTK otwarte w Lublinie (ul. Koryznowej 2 b) wystawę p.n. „Bułgaria krajem turystyki". Interesujące fotogramy dostarczyło przedstawicielstwo Komitetu ds. Turystyki Ludowej Republiki Bułgarii w Warszawie. Nasuwa się jednak refleksja, że przy obecnych opłatach za wycieczki turystyczne coraz częściej będziemy oglądać piękne widoki czarnomorskie jedynie na planszach.

Pamiętać by żyć...

ODWIEDZAJĄCY nasz kraj cudzoziemcy dziwią się nierzadko, że prawie w każdym mieście znajduje się cmentarz lub pomnik poświęcony pamięci tych obywateli polskich, którzy zginęli lub zostali zamordowani w latach wojny i okupacji hitlerowskiej. Tłumaczą przy tym, że to chyba niedobrze wpływa na samopoczucie współczesnych Polaków, może nawet na ich zdrowie psychiczne. Takie znaki minionej tragedii, wyjaśniają delikatnie, powodując ciągłe rozpamiętywanie spraw bolesnych, przeszkadzają wam w rzeczywistym otwarciu wobec świata, umacniają niechęć do niektórych narodów, które przecież teraz, niemal czterdzieści lat od zakończenia wojny, są już inne od pokolenia ojców i dziadów, liberalne, demokratyczne oraz zamożne, co także ważne, albowiem pomyślność gospodarcza wynika po części z moralnego zdrowia społeczeństwa. A zatem — pytają retorycznie — czy nie przesadziliśmy upamiętniając niemal 20 tysięcy miejsc walk i polskiego męczeństwa?

Wydawałoby się, że na takie pytania odpowiadać nie warto, bo po co? Żeby przypomnieć znane fakty ze sfery polskiego obyczaju czy polityki zagranicznej, które mówią niedwuznacznie, że ciągle żywa pamięć o naszych zmarłych czy zadręczonych w obozach koncentracyjnych wcale nie zmąciła pozytywnego obrazu świata w świadomości Polaków i nie osłabiła naszej życzliwości wobec innych narodów? Żeby wyjaśniać, że mylenie poczucia odrębności narodowej z ksenofobią może prowadzić do wniosku, iż właściwie wszystkie nacje Europy pielęgnują w sobie tę wrogą rezerwę wobec innych?

A jednak na pytania takie odpowiadać trzeba. Bo kryją one coś bardziej dramatycznego: kompletną nieznajomość naszej historii i niewiarę w rozmiary tragedii, jaka dotknęła Polskę w latach 1939—1945, kiedy to straciło życie ponad sześć milionów obywateli kraju położonego w sercu Europy, z czego zdecydowana większość w obozach koncentracyjnych Oświęcimia, Brzezinki, Majdanka, Rogoźnicy, Treblinki, Sobiboru, Bełżca, Chełmna, Działdowa, Sztutowa i w dziesiątkach innych miejsc masowej zagłady.

Niedawny proces oprawców hitlerowskich w Düsseldorfie był tylko jednym, choć wyjątkowo skandalicznym, dowodem na to, że owa niewiara w rozmiary naszej tragedii wojenno-okupacyjnej jest na Zachodzie zjawiskiem wystarczająco wyraźnym, by niepokoić **każdego** przyzwoitego człowieka, który dostrzega sens w istnieniu gatunku ludzkiego.

Wskazując na to nie kierujemy się względami jakiejś taktyki politycznej. Takie spojrzenie byłoby czymś trywialnym, a nawet groźnym i fałszującym realne źródła zła w świecie.

Rzecz w tym, by społeczność globu wyciągnęła wnioski z tego strasznego, nie mającego precedensu w dziejach doświadczenia, jakie było udziałem Polaków. Pamiętajcie o tym — mówimy — by żyć. I zrozumcie, że walczyliśmy i ginęliśmy nie tylko w obronie własnej sprawy. Jak zwykle zresztą, poczynając od końca XVIII wieku.

(K)

Nowa świadomość obywatelska

Andrzej Burda

ŚWIADOMOŚĆ nieodzownego związku jednostek z własną państwowością i poczucie stałej odpowiedzialności za jej pomyślny rozwój gruntuje się na przeświadczeniu, że atrybutem obywatelstwa jest współwłasność materialnych i kulturalnych dóbr odziedziczonych po przeszłych pokoleniach, że rządzący i zarządzający gospodarką narodową są jedynie zdyscyplinowanymi i odpowiedzialnymi funkcjonariuszami publicznymi, zawsze w pełni świadomymi odpowiedzialności przed swymi mocodawcami. To chyba najistotniejsza cecha ludowej świadomości państwowej. Jej materialne przesłanki miały stworzyć radykalne reformy społeczno-gospodarcze, przeprowadzone tuż po wyzwoleniu ojczystej ziemi spod okupanta. Otworzyła się wówczas po raz pierwszy możliwość zrównania wszystkich ludzi pracy.

Likwidacja obszarnictwa jako grupy społecznej przysporzyła państwu ludowemu rzesze nowych obywateli — chłopów, nadzielonych ziemią, przekonanych niejako namacalnie o swej więzi z nową formacją polityczną narodu. Mówiąc słowami chłopskiego poety, poczuli się nareszcie „władcami i ziemi, i chleba", sojusznikami robotników, współgospodarzami kraju. Do nowej świadomości państwowej wnieśli przez wieki wypracowane poczucie twardego obowiązku względem spraw gromadzkich, rzetelność w pracy, sceptycyzm wobec niewczesnego a jałowego entuzjazmu i czczej gadaniny. Nie upraszczajmy jednak obrazu: początkowo zaściankowa mentalność zakorzeniona — boć z gorzkiego a wielowiekowego doświadczenia płynąca — nieufność przejawianą w życiu politycznym, a spore zaległości w dziedzinie „oświecenia publicznego" także hamują proces uobywatelnienia warstwy chłopskiej, nie zamykając przecież drogi do ostatecznego i pełnego powodzenia.

Łatwiej i prościej wyglądała sprawa przestawienia politycznej świadomości robotników na tory myślenia kategoriami państwowości ludowej. Nie zachodzi potrzeba szerokiego wyjaśniania przyczyn tego zjawiska historycznego. Wiadoma jest rola robotników w systemie społecznego wytwarzania oraz zahartowanie ich w walkach rewolucyjnych, wysokie dzierżenie sztandaru swej godności i poczucie własnej roli społecznej. Ich trud i ofiarność torowały drogę wszelkim postępom i sukcesom w walce o Polskę Ludową. Tworem klasy robotniczej była Polska Partia Robotnicza, inicjatorka utworzenia Krajowej Rady Narodowej, w której deklaracji zawarta była zapowiedź: „Krajowa Rada Narodowa oświadcza, iż w Polsce wyzwolonej panować musi sprawiedliwość społeczna. Wielkość i moc ojczyzny oprzeć trzeba na zabezpieczeniu szerokim masom pracującym miast i wsi [...] roli gospodarza w odrodzonej Polsce". W przytoczonym tu fragmencie jakże trafnie wymieniono obok siebie dwa najistotniejsze współczynniki podnoszenia świadomości państwowej na niespotykane dotąd wyżyny: poczucie sprawiedliwości społecznej oraz zabezpieczenie roli gospodarza kraju — masom pracującym. Realizacji tych przesłanek nowej świadomości państwowej naszego społeczeństwa przewodzi klasa robotnicza aż po dzień dzisiejszy. A nade wszystko — klasa robotnicza stwarza materialne podstawy zintegrowania socjalnego narodu, pośrednio zatem wysiłek jej działa na rzecz podniesienia ludu pracującego do roli podmiotu polityki, na rzecz ukształtowania nowej świadomości państwowej, stanowiącej w sferze nadbudowy odpowiednik uspołecznionej bazy ekonomicznej kraju.

Zapowiedzią a zarazem świadectwem nowego stosunku robotników do spraw gospodarki narodowej było spontaniczne dźwiganie z gruzów i uruchamianie zakładów przemysłowych od pierwszych dni wyzwolenia. Bez nakazu, ustalenia norm dyscypliny pracy, odgórnej dyspozycji, ale też bez oznaczonego wynagrodzenia i godziwego zaopatrzenia, bez obietnic nagród i odznaczeń. To wówczas, w trudnych warunkach życiowych, wypełniali robotnicy podstawowe zadania rewolucji typu socjalistycznego: nacjonalizacja przemysłu dokonana została przez nich w drodze przejmowania wielkich i średnich zakładów przemysłowych na rzecz państwa ludowego. Ustawa nacjonalizacyjna — jak to stwiedził na IX sesji KRN Aleksander Zawadzki — była tylko „zatwierdzeniem przez naczelne władze państwowe faktycznego stanu rzeczy, albowiem polska klasa robotnicza, przejmując z rąk okupanta niemieckiego warsztaty pracy, przejęła je w przeświadczeniu, że nie wrócą one do rąk wyzyskiwaczy kapitalistycznych". Nie wróciły. Robotnicy, czując się w imię zasad sprawiedliwości społecznej współgospodarzami kraju, prędko nauczyli się kierowania, ustalania i organizowania realizacji zadań poszczególnych zakładów — odpowiednio do interesów i poczynań ogólnopaństwowych. A doświadczenie i zdobyta wiedza przeorywały w duchu nowych potrzeb społecznych ich świadomość państwową. Jej nieodłączną cząstką stało się bowiem najgłębsze przeświadczenie wytwórców dóbr materialnych, że ich rola w systemie społecznego wytwarzania decyduje przemożnie o dalszych losach narodu i fakt ten nakłada na nich znaczną odpowiedzialność, wyrażalną w wymiarach historycznych.

Różne były koleje i formy udziału robotników w zarządzaniu jednostkami gospodarki narodowej, ale w ich narastającej świadomości społecznej umacniało się najgłębsze przekonanie o niezbywalnym prawie do takiego udziału, a zarazem poczucie płynącej stąd odpowiedzialności. W momentach szczególnych napięć i trudności poczucie takiego obowiązku znajdowało wyraz w spontanicznym, oddolnym zrywie samoorganizacyjnym, w podejmowaniu decyzji godnych klasy społecznej, historycznie predestynowanej do roli awangardy szerokich mas ludu pracującego. Świadomość klasy dojrzałej i jakże roztropnej! Po cóż tu przypominać tak głęboko osadzone w pamięci narodu wymowne ilustracje takich właśnie przeobrażeń w świadomości politycznej robotników polskich.

Niezwykle doniosłe znaczenie dla dalszego stopniowego nawarstwiania się nowej świadomości państwowej w okresie Polski Ludowej miał stale rosnący przypływ robotników, chłopów i młodej inteligencji do aparatu państwowego. Na gruzach zburzonego aparatu państwowego okupanta powstawał nowy, którego trzonem były kadry wywodzące się z grup społecznych uprzednio odtrąconych od zadań sprawowania władzy państwowej. Długotrwałe wnikanie nowych sił społecznych do administracji i systemu zarządzania gospodarką przynosiło jako trwałe wyniki: przyswajanie sobie umiejętności rządzenia i zarządzania, organizowania i kierowania, poczucie realnej więzi z mechanizmem państwowym i ukazanie go w oczach szerokich kręgów społeczeństwa bez osłon mistyki politycznej; wzmożenie świadomej odpowiedzialności za losy całej społeczności i państwa. Niezwykle istotnym był i ten moment, że wywodzący się z ludu funkcjonariusze publiczni weszli do aparatu państwowego jako rzecznicy interesów i dążeń społecznych swojej klasy. Bywało, że ongiś w parlamencie II Rzeczypospolitej znaleźli się także przedstawiciele świata pracy, natomiast w aparacie rządzenia znaleźć się mogły jednostki „z ludu" jedynie za cenę zerwania więzi z własnym środowiskiem społecznym, co było jednoznaczne z utratą pierwotnej osobowości klasowej. W Polsce Ludowej masowe wkroczenie nowych sił społecznych do aparatu państwowego szło w parze z narastaniem ich nowej świadomości państwowej. A był to moment wymagający szczególnego podkreślenia w niniejszych rozważaniach.

W procesie przeobrażania i przewarstwiania świadomości państwowej w okresie zakładania zrębów Polski Ludowej ujawniał się ze szczególną wyrazistością dialektyczny charakter wszelkiego procesu historycznego: działania ludzkie kruszą skorupę zakreślającą granice treściom starej świadomości społecznej, a jednocześnie modelują tworzywo nowych idei społecznych. W ich rzędzie zaś — poglądy dotyczące sposobu powiązania jednostek ze zbiorowością, co zawsze stanowi sedno treści świadomości państwowej.

W ocenie charakteru treści świadomości państwowej strzeżmy się jednak uproszczeń i poddawania się złudzeniom automatyzmu kształtowania się tej sfery. Przesłanki materialne jej prawidłowego inspirowania i rozwijania same przez się bowiem nie zapewniają pojawiania się w każdym wypadku takich postaw politycznych i takich zachowań jednostek oraz grup społecznych w życiu publicznym, jakie z punktu widzenia rządzących wydają się pożądanymi oraz najkorzystniejszymi dla społeczeństwa. Wszak złożone procesy historyczne nigdy nie będą — tu kłaniam się z przeproszeniem futurologom — mechanicznym odtworzeniem treści podyktowanych przez mózg elektronowy, gdyż element subiektywizmu czy przypadkowości nie pozwala wyłączyć poza nawias takich procesów. (To Marks zapewniał przecież, że „historia miałaby w sobie coś mistycznego, gdyby przypadki nie odgrywały w niej żadnej roli"). Nigdy też zespół ludzi sprawujących funkcje rządzenia dzięki umocowaniu społecznemu nie powinien popadać w urojenie, iż jego zamysły i decyzje zawsze i niechybnie pokrywać się będą z poglądami i wierzeniami większości społeczeństwa. Nie trudno poszukać na przestrzeni trzydziestolecia wymownych ilustracji tej prawdy. Pomni przecież jesteśmy — z jednej strony — chropowatości i zgrzytów w układaniu się stosunków między kierownictwem politycznym a społeczeństwem, z drugiej zaś strony — momentów, które przywodziły jakby odpowiedź na apel wieszcza: „zestrzelmy myśli w jedno ognisko i w jedno ognisko duchy".

Dodajmy, że takiemu zespoleniu duchowemu szerokich rzesz narodu nie zawsze musi towarzyszyć imponująca wrzawa, ani też nie przychodzi ono na zamówienie od góry. Niechybności oczekiwanych, tych czy innych, procesów społecznych możemy spodziewać się dlatego, że noszą one charakter (jak to za Marksem powtarzał Lenin) przyrodniczo-historyczny; oznacza to mianowicie, że nie wola pewnych grup, lecz zdeterminowany obiektywnymi czynnikami ruch społeczny rozstrzyga w ostatecznym rachunku także o treści poglądów politycznych, stanowiących kościec świadomości państwowej, związanej z nadbudową polityczną danego okresu historycznego.

Świadomość państwową w społeczności demokratycznej charakteryzuje i to, że patriotą nie jest się z urodzenia, profesji czy zajmowanej pozycji społecznej lub państwowej. O treści jej i moralnych wartościach rozstrzyga przemożnie etap realizowania sprawiedliwości społecznej oraz skuteczność stosowanego systemu wychowawczego. Patetyczne apele o umacnianie świadomości państwowej i o właściwe postawy obywatelskie stają się przysłowiowym grochem o ścianę, jeżeli ubiera się je w formuły biurokratyczne i nie popiera żywymi przykładami ośrodków wiodących prym w życiu politycznym kraju. Wchodzą tu więc w grę zarówno system, jak i metody wychowania obywatelskiego. Sami wychowawcy prezentować powinni zalecane jako wzór postawy obywatelskie, nie posługując się przy tym przestarzałą frazeologią i powierzchowną argumentacją.

Dlatego trzeba zaakcentować rolę społecznych przesłanek kształtowania zdrowej świadomości państwowej, gdyż powoływanie się tylko na motywy natury uczuciowej (jakże to zhana u nas nutka sentymentalizmu) okazuje się w społeczeństwie dojrzałym — a tak godzi się traktować nasze społeczeństwo — rynsztunkiem anachronicznym, zawodzącym w staraniach nawiązania kontaktu duchowego starszego i młodszego pokolenia. Nie pora już dzisiaj na posługiwanie się metodami stosowanymi z problematycznym powodzeniem w okresie niewoli narodowej. Motywacje cieszące się uznaniem w dobie romantyzmu politycznego nie przedstawiają już wartości konstytutywnych w warunkach nowej struktury społecznej, sprzyjającej zakotwiczeniu w umysłach młodego pokolenia nakazów realizmu politycznego.

Na naszych oczach konstytuuje się nowy model obywatela. Rękojmią jego dojrzałości i aktywności jest nie tylko dostateczne rozumienie mechanizmu procesów politycznych: obywatel powinien być świadom społecznej konieczności swego aktywnego i systematycznego udziału w wydarzeniach politycznych kraju, świadom także tego, iż odwaga w wyrażaniu swego stanowiska w sprawach publicznych jest nieodzownym warunkiem pomyślnego kształtowania losów narodu. Potrzeba takiego właśnie działania politycznego jest czymś istotniejszym, niż sporadyczne zabiegi o wyniki powtarzających się co parę lat wyborów. Biurokratyczne jedynie zdyscyplinowanie polityczne społeczeństwa nie wystarcza do zapewnienia odpowiedniego poziomu kultury politycznej, znajdującej w państwie ludowym najdobitniejszy wyraz w nowej świadomości państwowej.

Z książki pt. „U podstaw świadomości państwowej", która ukaże się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego

NA STARYM MIEŚCIE PO STAREMU...

Dokończenie ze str. 1

rowe tynki pobladły sromotnie, ponieważ to, co było w tych obiektach najważniejsze, a więc mury, piwnice, dachy i wiązania konstrukcyjne wyremontowano powierzchownie, naśladując jakby proceder z roku 1954, kiedy to poważną rocznicę państwową uczczono w sposób niepoważny, miast solidnej kuracji geriatrycznej aplikując starym kamienicom zabiegi kosmetyczne na licach.

Trzy lata temu zjechała wszakże do Lublina komisja międzyresortowa oraz interinstytucjonalna, której przedstawiciele — zgromadzeni w Sali Kolumnowej Urzędu Wojewódzkiego, gdzie poczęstowano ich coca colą, wodą mineralną, słonymi paluszkami i owocami oraz informacjami ad rem — bez entuzjazmu, lecz w końcu jednoznacznie obiecywali pomoc w dziele ratowania Starego Miasta. Pięknym akcentem uroczystości były całusy z tzw. dubeltówki, jakie wymienili: wojewoda Mieczysław Stępień oraz wiceminister i generalny konserwator zabytków PRL, profesor Wiktor Zin. Za oknami bieliła się zima, ale w tym momencie przez salę powiało serdecznym gorącem.

Co prawda godzinę później, podczas wizji lokalnej na Starym Mieście, profesor zirytował się mocno na widok nowiutkich i niebieściuchnych ornamentów malarskich, pokrywających fragment dzwonnicy kościoła dominikanów, ale na gospodarzach terenu nie zrobiło to chyba większego wrażenia, skoro wbrew wyraźnemu poleceniu wiceministra błękitna kompozycja nadal „raduje" oko przechodnia. Zresztą Wiktor Zin — podobnie jak Mieczysław Stępień — zwolnił już zajmowane do niedawna stanowisko, a generalnym konserwatorem zabytków znów został dr Bohdan Rymaszewski — faktycznie po raz trzeci w swej resortowej karierze.

Wtedy też mówiło się, że rewaloryzacja przeciągnie się jednak lat 15, a może dłużej.

Obecnie na Starym Mieście nadal trwają prace konserwatorsko-budowlane, niejeden z budynków przekazano już użytkownikom: np. na Grodzką 14 wprowadziło się Stowarzyszenie Twórców Ludowych, dobiega końca remont Młodzieżowego Domu Kultury, za kilka miesięcy w pięknej kamienicy zainstaluje się Związek Literatów Polskich oraz Pracownie Sztuk Plastycznych. W czerwcu gotowy będzie projekt techniczny przezbrojenia całego terenu, który zamierza się realizować etapami, wprowadzając wreszcie w stare mury centralne ogrzewanie i nową sieć wodno-kanalizacyjną. Większe efekty kontynuowanych prac remontowych przewiduje się na lata 1983—1984 i wtedy na Starym Mieście pojawią się kolejne instytucje kulturalne, co być może polepszy charakter społeczny tej dzielnicy, po raz pierwszy na szerszą skalę odnawianej przed drugą wojną, kiedy konserwatorem okręgowym był dr Józef Dutkiewicz, także malarz po krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Wiemy ponadto, że historycy sztuki i archeolodzy PKZ poczynili na tym obszarze wiele cennych oraz interesujących odkryć, w poważnym stopniu uzupełniających i rewidujących naszą dotychczasową wiedzę o przeszłości Starego Miasta.

To i owo jeszcze wiemy, ale nikt z ludzi obdarzonych odrobiną poczucia odpowiedzialności nie jest dziś w stanie określić daty zakończenia całego przedsięwzięcia.

Owszem, w tych ciężkich czasach, w których niepewność jest niemalże elementem konstytutywnym społecznej świadomości i obejmuje rudymenta naszej egzystencji, takie kłopoty mogą wydawać się błahe. Bądźmy szczęśliwi, ktoś powie, że na Starym Mieście w ogóle robi się coś pożytecznego, a cała sprawa — wolno, bo wolno — posuwa się naprzód.

Ewentualnym tragarzom takich poglądów trzeba więc wyjaśnić, że minimalistyczne, wymuszone okolicznościami programy działania mają pewien sens racjonalny wszędzie, ale nie w sferze ochrony zabytków, których istnienie zależy bezwzględnie od metodycznej, planowanej troski o ich zachowanie, rozwijającej się w rytmie proporcjonalnym do kulturalnej i materialnej specyfiki obiektów. Świadczą o tym chociażby wszystkie dotychczasowe prace konserwatorskie na lubelskim Starym Mieście czy w kaplicy św. Trójcy „na Zamku", które nie przyniosły spodziewanych rezultatów, ponieważ prowadzono je albo powierzchownie, albo po partyzancku, z doskoku, lub bez odpowiedniego zaplecza materiałowo-produkcyjnego i finansowego, bez sprawnej organizacji także. Zwróćmy uwagę: w czasie minionego półwiecza kilkakrotnie zabierano się do renowacji Starego Miasta, czego ostatecznym efektem okazywała się postępująca... dewastacja tego świetnego zespołu dawnej architektury! Zabytki mają to do siebie, że z całym okrucieństwem ujawniają fikcyjność czy okazjonalność ludzkich starań o ich zdrowie. Ale zaraz potem umierają, a my jakby głupiejemy z tego powodu, odsłaniamy naszą pamięć zbiorową na atak ciężkiej choroby zwanej amnezją historyczną — nie od razu, rzecz jasna, tylko z pokolenia na pokolenie.

Urzędowe przyjęcie planów i programów rewaloryzacji, opracowanych na początku lat siedemdziesiątych w sposób kompleksowy i uwzględniający niezwykle ważny czynnik czasu, dawało nadzieję, że ratowanie Starego Miasta potoczy się wreszcie po drodze racjonalnej i poważnej. Szybko jednak okazało się, że były to nadzieje wygórowane, krótko mówiąc: wszelkie ustalenia i harmonogramy wzięły w łeb, myślenie strategiczne w dziele rewaloryzacji zajęła taktyka, a więc metodologia działania na krótkim oddechu.

Przy końcu dekady znów powiało przecież optymizmem — dzięki wizycie wspomnianej komisji międzyresortowej, powołaniu Jadwigi Jamiołkowskiej na stanowisko głównego projektanta Starego Miasta, utworzeniu przy Urzędzie Miejskim Zarządu Rewaloryzacji Zabytkowego Zespołu Lublina (1 lutego 1980 r.) i ustanowieniu Rady Konserwatorskiej przy prezydencie miasta, na której czele stanął architekt Jacek Cydzik z Ministerstwa Kultury i Sztuki. Szał ciał — jak mawiało się w okresie rehabilitacji jazzu w Polsce.

Ale teraz, w marcu 1982 roku, inżynier Ryszard Wojewódzki — dyrektor wspomnianego Zarządu Rewaloryzacji — informuje dziennikarza, że ustalony niegdyś dwudziestoletni termin zakończenia prac na Starym Mieście okazał się nieralny ze względu na brak środków finansowych, mniejsze od przewidywanych moce przerobowe przedsiębiorstw wykonawczych i „moc niespodzianek", jakich ciągle dostarcza ten historyczny teren. Na potrzeby roku bieżącego miasto obiecało co prawda Zarządowi, który pełni rolę głównego inwestora, 190 mln. zł według cen nowych, ale pieniądze te nie trafiły jeszcze do potencjalnego dysponenta. Najpewniejsze w tym wszystkim jest to, że inwestor zapewnił sobie „moce wykonawcze" na wyżej wspomnianą kwotę.

Dyrektor Wojewódzki stwierdza ponadto, że z zabytkowych budynków nie uda się w tym roku wykwaterować około 30 rodzin, co i w tym fragmencie planu naruszy ustalone cele, tożsame m.in. z przeniesieniem poza obszar Starego Miasta setek dotychczasowych jego mieszkańców. Można przypuszczać, że trudności tego rodzaju, opóźniające przystąpienie do remontowania kolejnych obiektów, spotęgują się z czasem — wobec znanej depresji naszego budownictwa mieszkaniowego. Obecnie za Bramą Krakowską żyje około 4700 osób, a w przyszłości powinno, jak zakładał program na 1990 rok — 2000, albowiem tylko takiej grupie ludzi można zapewnić odpowiednie warunki bytowania w zabytkowych murach.

Dyrektor nie ma odwagi określić daty zakończenia rewaloryzacji Starego Miasta, czemu trudno się dziwić. W praktyce bowiem wszystkie decyzje planistyczne dostosowuje się tutaj do realnych możliwości finansowych, materiałowo-technicznych oraz organizacyjnych tych instytucji i przedsiębiorstw, które zaangażowane są w dzieło ratowania cennego zespołu. A ponieważ możliwości te są ograniczone i ciągle zmienne, dalekosiężne i kompleksowe planowanie oraz konsekwentne realizowanie prac na Starym Mieście nie istnieje. Jeśli jest inaczej, to z jakichże u diabła powodów dopiero teraz, w czasie remontowania i przekazywania użytkownikom poszczególnych kamienic, myśli się na serio o wymianie sieci wodociągowej, kanalizacyjnej, gazowej, elektrycznej i telefonicznej, dopuszczając nawet możliwość przeciągnięcia instalacji przez piwnice?! Przecież takie roboty powinny otwierać cały proces wykonawczy, ograniczając przy okazji do minimum takie „niespodzianki", jak owa awaria na ul. Grodzkiej, kosztująca 30 milionów....

Stare Miasto wymaga, powtórzmy, zupełnie innej metodologii postępowania polegającej na dostosowaniu sił i środków do faktycznych potrzeb zabytkowego zespołu. Na takim założeniu opierały się plany i programy sprzed lat dziesięciu, mające przy tym charakter systemowy, a więc wykluczający odstępstwa od przyjętego harmonogramu prac czy lekceważenie któregokolwiek z elementów przedsięwzięcia, choćby pozornie tak drobnego, jak np. rynny lub profile gzymsów. System bowiem to zbiór elementów połączonych funkcjonalnie na określonej zasadzie i każde naruszenie (zaniedbanie) jakiejś jego części dezorganizuje całość. Tymczasem podstawowe dyspozycje i idee zawarte w opracowaniach z lat 1972—74 nigdy nie znalazły się w praktyce rewaloryzacyjnej Starego Miasta! Trudno się zatem dziwić, że autorka tych dokumentów zrezygnowała z funkcji generalnego projektanta zabytkowego zespołu, znużona owym danse macabre.

Można wszak zauważyć, że to ogólny kryzys społeczno-gospodarczy kraju, narastający właśnie od połowy minionej dekady, odesłał mądre koncepcje staromiejskie do lamusa niespełnionych marzeń i fatalnie zagmatwał całą sprawę rewaloryzacji, wymagającej wszak sporych pieniędzy, odpowiedniego sprzętu budowlanego i materiałów. Owszem, w ocenie wiadomej rzeczy nie wolno pomijać tych obiektywnych uwarunkowań, niezależnych od lokalnych możliwości i dobrej woli władz, w którą nie chciałoby się wątpić. Ale jak wytłumaczyć szereg konkretnych błędów, które ciągle popełnia się na Starym Mieście z powodów subiektywnych, a na pewno tkwiących tylko w tej naszej lessowej glebie?

Rejestr tych nieporozumień należy zacząć od przypomnienia, że Stare Miasto nie miało i nie ma generalnego wykonawcy prac. Zarząd Rewaloryzacji zleca roboty różnym firmom, co w praktyce oznacza, że nie istnieje przedsiębiorstwo faktycznie odpowiedzialne za ich zaawansowanie w skali całego zespołu. Wypadałoby więc zapytać, dlaczego funkcji tej nie miałyby pełnić lubelskie PKZ, i tak najmocniej zaangażowane w rewaloryzację Starego Miasta, posiadające fachową kadrę, a przy tym urzędujące na miejscu, przy ul. Grodzkiej? Czy tu właśnie nie należałoby skoncentrować potencjału firmy, rozproszonego w tej chwili m.in. na robotach zagranicznych — niezwykle intratnych dla PKZ, lecz pośrednio obniżających możliwości ratowania polskich zabytków, co wypada stwierdzić mimo zupełnie odmiennych opinii dyrektora Zarządu PKZ w Warszawie, Tadeusza Polaka, i jego terenowych protagonistów oraz dziennikarzy prasy codziennej, którzy bez zastanowienia wychwalają dalekie wyprawy lubelskich konserwatorów?

Każdy dziś goni za tzw. dobrym przerobem, ale w tym ludzkim dążeniu do lepszego bytu osobistego zapomina się nierzadko o sprawach elementarnych. Swego czasu w budynku przy ul. Grodzkiej 11 odsłonięto nieźle zachowaną polichromię z połowy XVIII wieku, zapominając wszakże o zabezpieczeniu malowidła i w rezultacie zalała je woda, a kierownik grupy instalacyjnej, opierając się na nieaktualnym projekcie, polecił pruć ścianę z freskami celem założenia przewodów.... Sprzeniewierzając się prawdzie historycznej, sień i podworko budynku PKZ wyłożono płytami granitowymi, w niektórych innych pomieszczeniach kładzie się podłogi z szydłowieckiego marmuru, choć na Dolnym Śląsku znacznie taniej można kupić płytki ceramiczne, z punktu widzenia sztuki konserwatorskiej bardziej pasujące do mieszczańskich kamienic. A może nie chodzi tu o sztukę, lecz o przerób, zwiększający się proporcjonalnie do rosnących kosztów materiałowych?

Brak respektu dla podstawowych zasad konserwacji zabytków, chroniących tworzywa i formę budowli jako równorzędne wartości historyczne, jest następstwem także i tego faktu, że na Starym Mieście obok PKZ pracują przedsiębiorstwa trudniące się na ogół zwykłymi robotami remontowo-budowlanymi, ziemnymi czy instalacyjnymi. Wykonują one swoje zadania rutynowo, jak potrafią, jak pracowały przed pojawieniem się na Starym Mieście. Angażowanie tych firm jest koniecznością, bo same PKZ — nie podołałyby zadaniu, ale czy nie trąci nieporozumieniem fakt opuszczania przez nie placu budowy wówczas, kiedy nauczyły się już „robić w zabytkach"?!

Najbardziej dramatyczne problemy zaczynają się przecież po wykwaterowaniu kamienic przeznaczonych do remontu. Taki wyludniony budynek MZBM przekazuje Zarządowi Rewaloryzacji, ten zaś — Pracowniom Konserwacji Zabytków w celu przeprowadzenia badań architektonicznych II stopnia, co wiąże się z kuciem ścian, zrywaniem podsufitek etc. i trwa dwa — trzy miesiące. Faktycznie kamienica staje się jakby bezpańska, na pewno nocami mogą ją penetrować jakieś zakazane mordy. Przez kolejne pięć miesięcy wykonywana jest dokumentacja techniczna z wnioskami, którą otrzymuje wykonawca — trzy miesiące przed rozpoczęciem robót, jak to określają przepisy. Bywa przecież, że i po upływie tego terminu robotnicy nie pojawiają się w obiekcie, ponieważ ich przedsiębiorstwo, zgodnie z harmonogramem, pracuje w innym miejscu. Krótko mówiąc: przez cały rok, w najlepszym przypadku, wykwaterowana kamienica stoi pusta, w istocie bez żadnego dozoru, chroniąc się tylko za tym zabezpieczeniem (kłódki, kraty, barykady z desek), które wykonały PKZ opuszczając obiekt.

W tym czasie odbywa się błyskawiczna dewastacja budynku, który traci szyby, schody, balustrady, tralki i inne detale. Rozkradane jest właściwie wszystko, co można wyrwać i wynieść w pojedynkę lub z kumplami, mieszkającymi na tymże Starym Mieście, ale też ściągającymi z innych dzielnic. Kto nie wierzy, niech zobaczy wnętrza następujących kamienic: Grodzka 3/5, Grodzka 22, Złota 2, Rynek 6, Pola 4. W tej ostatniej mieści zresztą jedna z pracowni PKZ... Warto też zajrzeć do tzw. oficyny Hanuszowskiej przy ul. Wincentego Pola 6a, gdzie przez rozbity świetlik miesiącami lała się woda deszczowa i padał śnieg, niszcząc obiekt tak dokumentnie, że należałoby go właściwie rozebrać i postawić na nowo — doprowadzając rozumowanie do uzasadnionego absurdu. Ciekawe doznania zapewnia ponadto wizyta na ul. Złotej 6.

Wszystkie wykwaterowane budynki Starego Miasta znajdują się w stanie awaryjnym!

„Przed każdym należałoby właściwie postawić dżudoka", tłumaczy dyrektor Wojewódzki. „Na Starym Mieście nadal jest niebezpiecznie, co tydzień milicja odnotowuje włamanie. Wyprowadziliśmy stąd wiele rodzin, ale pojedyńczy osobnicy wracają w celach towarzyskich — jest tu jeszcze sporo różnych melin".

Do 15 posiadanych etatów Zarządowi Rewaloryzacji przybywa właśnie sześć dalszych, co otwiera chyba jakieś możliwości zatrudnienia owych dżudoków lub nawet karateków.

Zniszczenia materii budowlanej powstają również podczas remontu, rozpoczynanego czasami bez pewnych drobiazgów z zaplecza technicznego, ale z reguły od dachu. A potem okazuje się, że brakuje nam akurat plandeki do nakrycia obnażonej konstrukcji, nie ma blachy i gwoździ. W rezultacie w kamienicy przy ul. Grodzkiej 5 utworzyło się wiosną coś w rodzaju stawu o głębokości bodaj 30 cm, w którym ledwo stała nowa stolarka.

Jak widać z tego rejestru błędów i schorzeń — na życzenie mogę go szybko uzupełnić o inne fakty — wszystkiego na kryzys zwalić się nie da. Pozostając w przekonaniu, że rewaloryzacja Starego Miasta wymaga nakładów proporcjonalnych do potrzeb tej cennej i delikatnej substancji zabytkowej, przychylam się do tych głosów, które aktualne kalectwo całego przedsięwzięcia tłumaczą głównie niedowładem organizacyjnym i brakiem głębszego przekonania do sprawy.

Ireneusz J. Kamiński

Jezioro Genewskie (3)

Paderewski - ostatni akord

Mirosław Derecki

PIERWSZY przystanek kolejowy od Lozanny w kierunku Genewy. Mała stacyjka z napisem: „Morges". Zbocza górskie, opadające jeszcze jedenaście kilometrów stąd, w Lozannie, stromo ku Jezioru Genewskiemu, złagodniały, odeszły w głąb lądu. Zielenią się podchodzące pod sam tor winnice. Powietrze łagodne, lekko zamglone. Wysiadam z pociągu, kłoniącą się lekko w dół ulicą schodzę ku Lemanowi.

Morges było kiedyś ważnym portem śródlądowym, tutejsi kupcy robili fortuny na operacjach przywozowych i wywozowych. Dzisiaj, niespełna dziewięciotysięczne miasteczko żyje głównie z winnic i z turystyki. Turyści z całego świata przyjeżdżają tutaj, ściągnięci nie tylko pięknem krajobrazu, nie tylko z uwagi na wspaniałe warunki klimatyczne. Także — ze względu na pamięć o Mistrzu z Riond-Bosson, wybitym planiście z przełomu stuleci, Ignacym Janie Paderewskim, który spędził tutaj czterdzieści trzy lata swego życia.

Dla Polaków Morges to nie tylko miejsce zamieszkania wybitnego artysty; pałacyk Riond-Bosson, należący do Paderewskiego, był wszak od połowy lat trzydziestych siedzibą tzw. Frontu Morges, powołanego do życia przez stojących w opozycji do rządów sanacyjnych: Władysława Sikorskiego, Wincentego Witosa, Józefa Hallera i samego Mistrza, byłego premiera rządu II Rzeczypospolitej, a potem ministra spraw zagranicznych w pierwszym okresie po odzyskaniu przez Polskę niepodległości

Tutaj w Morges Paderewski żył i pracował przez prawie połowę swojego życia Tutaj ożenił się po raz drugi, tutaj patrzył na powolne konanie swojego kalekiego syna z pierwszego małżeństwa Tu, nad Lemanem, powstawały jego najwybitniejsze kompozycje z operą „Manru" na czele. Stąd w latach pierwszej wojny światowej wyruszył do Ameryki, żeby bić się tam o sprawę polską, werbować ochotników do walki o niepodległość, zbierać potrzebne fundusze. I stąd także, znowu w służbie Ojczyzny, miał 23 września 1940 r. wyruszyć ponownie za ocean, w kolejnej oficjalnej misji, jako prezes polskiej Rady Narodowej. Wyjechał i nigdy już nie wrócił nad Jezioro Genewskie.

☆

Za życia Paderewskiego ulica nosiła nazwę Rue du Lac; dziś jest to Rue Louis de Savoie. Ale, jak dawniej, stoi przy niej kościół katolicki, do którego uczęszczał Ignacy Paderewski, w pobliżu kościoła wznosi się sylweta starego Maison Morax, domu wrośniętej od szeregu pokoleń w tutejszą społeczność rodziny Moraxów. Rodziny lekarzy i artystów. Mistrz z Riond-Bosson był zaprzyjaźniony szczególnie z pisarzem René Moraxem i bywał goszczony w domu przy Rue du Lac. Dziś gdy dom Moraxów opustoszał, a spadkobiercy tylko w czasie lata wpadają tutaj z dalekiego Paryża, podjęto w Morges myśl o utworzeniu w jednej z części budynku, w dawnej pracowni malarskiej Jeana Moraxa, Muzeum Paderewskiego.

W Morges od czterech lat działa Société Paderewski, czyli Towarzystwo im. Paderewskiego, w którego statucie założycielskim czytamy m.in.: „Dla uczczenia pamięci i dla ukazania dzisiejszym i przyszłym pokoleniom sylwetki i osobowości wybitnego muzyka i polskiego męża stanu Ignacego Jana Paderewskiego, honorowego obywatela wielu szwajcarskich społeczności, Towarzystwo stawia sobie za cel utworzenie muzeum poświęconego Mistrzowi; będzie ono także prowadziło aktywną działalność muzyczną, koncertową itp.".

Projekt powołania do życia Towarzystwa Paderewskiego wyszedł od znanego polskiego pianisty Henryka Witkowskiego, zamieszkałego zresztą we Francji, w Marles les Mines, i trafił od razu nad Jeziorem Genewskim na bardzo podatny grunt. Nic zresztą dziwnego, Szwajcarzy — co wielokrotnie mogłem stwierdzić — autentycznie dotąd się Paderewskim. Zachwycają się nim jako wybitnym muzykiem-wirtuozem, kompozytorem, cenią jego działalność polityczną, jego wielki patriotyzm, czczą wreszcie jego pamięć jako szlachetnego, pełnego osobistego czaru, człowieka. Mówią o Paderewskim jako o „wielkim Polaku", ale chyba mają go tak naprawdę za coś w rodzaju bohatera obojga narodów" — polskiego i szwajcarskiego, tak jak mieszkańcy Stanów Zjednoczonych w wypadku Kazimierza Pułaskiego i Tadeusza Kościuszki. Czy zresztą sam Paderewski nie uważał się w jakimś stopniu za obywatela Szwajcarii? Wszak od czasów późnej młodości, prawie aż do samej śmierci tutaj żył i tworzył, skąd kierował swoje myśli ku Polsce. Po pierwszych znaczących sukcesach w Paryżu, jako dwudziestodziewięcioletni mężczyzna, odbył pierwsze tournée koncertowe właśnie po Szwajcarii. Koncertował wówczas w Neuchâtel, Bâle, Lozannie i Genewie. Następnych kilka lat to triumfalna podróż artystyczna po Stanach Zjednoczonych, owacje tłumów, własny pociąg przenoszący szybko i wygodnie idola ówczesnych miłośników muzyki fortepianowej z jednego odległego miasta amerykańskiego do drugiego. I — zdobycie kolosalnej fortuny. W 1897 r. Ignacy Paderewski kupuje posiadłość Riond-Bosson górującą nad cichym szwajcarskim miasteczkiem Morges. Chce odpocząć od zgiełku światowego. Żeni się z Heleną Górską, pielęgnuje syna, gra, komponuje.

W 1915 r. Paderewski był milionerem. Ale, mimo bogactwa, jego dom — zawsze otwarty i gościnny dla wszystkich (o czym wspomina m.in. Artur Rubinstein w swoich pamiętnikach) — nosił piętno dawnej tragedii, niezatartą pamięć o zmarłym przed piętnastu laty jedynym synu artysty. Paderewski był teraz, mimo pobytu w prowincjonalnym Morges, szeroko otwarty na wszelkie inicjatywy narodowe. Utrzymywał żywe kontakty z mieszkającym w Vevey, niedawno przybyłym z kraju, Henrykiem Sienkiewiczem, z wrośniętym od lat w szwajcarski pejzaż Zygmuntem Miłkowskim (T. T. Jeżem) i z innymi polskimi politykami oraz działaczami społecznymi i kulturalnymi. Znajdował się we władzach polskich komitetów patriotycznych, niosących pomoc Polakom w kraju i na obczyźnie. Potem wyjechał do Ameryki, a jako przyjaciel prezydenta Wilsona wiele zrobił dla sprawy powstania Państwa Polskiego. Potem działał w wolnej Polsce. Potem reprezentował swój kraj w Lidze Narodów w Genewie.. Potem... znowu zamieszkał w Morges...

W 1925 roku miasteczka Morges oraz Vevey — gdzie kiedyś koncertował razem z Camillem Saint-Saënsem i Gustavem Doret — nadały Paderewskiemu honorowe obywatelstwo. W ich ślady poszła w 1933 r. stolica regionu, Lozanna, także czyniąc go swoim honorowym obywatelem.

Czy należy się dziwić, że gdy padł projekt utworzenia Towarzystwa im. Paderewskiego, zaangażowały się w tę sprawę osobistości najbardziej „illustres" znad Jeziora Genewskiego — artyści, dziennikarze, naukowcy, bankierzy, przedstawiciele władz, a na czele Towarzystwa stanął ówczesny syndyk Morges, monsieur Xawier Salina (co brzmi już szczególnie godnie, bo przywodzi na pamięć głównego bohatera słynnej książki Giuseppe Tomasi di Lampedusa'y)?

Société Paderewski powstało dokładnie 29 czerwca 1977 r. z siedzibą w Morges; liczy dzisiaj ponad trzystu członków; zorganizowało szereg koncertów, których repertuar wypełniony był głównie utworami Mistrza z Riond-Bosson; postarało się o sprowadzenie z Wielkiej Brytanii archiwalnego, nakręconego w 1936 r. przez Lothara Mendesa filmu „Moonlight Sonata", którego głównym bohaterem oraz... odtwórcą własnej postaci był sam Ignacy Paderewski.

Jest także Towarzystwo inspiratorem kilku ekspozycji historycznych poświęconych osobie i sztuce Ignacego Paderewskiego. Między innymi — w 1980 r. w Lucernie, podczas Tygodnia Muzyki Polskiej (Chopin, Szymanowski, Penderecki, Lutosławski, Baird) oraz jesienią 1981 r. w Lozannie, w związku z otwarciem odrestaurowanego, secesyjnego Casino de Montbenon, budowli przeznaczonej obecnie na cele kulturalne, którego główną salę koncertową nazwano imieniem Paderewskiego. Posiada także Towarzystwo rozbudowujący się coraz bardziej zbiór dokumentów, nut, partytur, fotografii, obrazów należących kiedyś do Ignacego Paderewskiego lub związanych z jego osobą, także — niektóre meble z wyposażenia pałacyku w Riond-Bosson. Wychodzą też staraniem Towarzystwa „Annales Paderewski" — zeszyty zawierające artykuły, przedruki z archiwum, wspomnienia o wybitnym planiście, oraz informujące o obecnych poczynaniach Société Paderewski.

Jedno z ostatnich zdjęć artysty.
Fot. Archiwum

Każdy może zostać członkiem Towarzystwa, wnosząc odpowiednią składkę miesięczną. Każdy także może je wesprzeć finansowo...

☆

23 września 1940 roku sędziwy, kończący właśnie osiemdziesiąty rok życia Ignacy Jan Paderewski, od dziesięciu miesięcy prezes działającej na obczyźnie polskiej Rady Narodowej, opuszczał Szwajcarię, udając się do Stanów Zjednoczonych. Przed wyjazdem nagrał w Radio de Sottens przemówienie pożegnalne do obywateli swej drugiej ojczyzny. Zostało ono, że względów bezpieczeństwa, wysłane w eter już po opuszczeniu przez Paderewskiego granic Szwajcarii. Przytacza je w całości dr Stanisław Liberek w swej książce „Temoignages. Les Polonais et leurs amis suisses au Pays romand 1939—1945". U nas chyba nigdy dotąd go nie publikowano.

„Moi drodzy radiosłuchacze! [...] Kiedy usłyszycie mój głos, będę już daleko stąd. Podczas ostatniego roku, który ma się już ku końcowi, uczestniczyłem w waszych nadziejach i waszych niepokojach. Czułem mocne bicie waszych serc, obserwowałem z szacunkiem wasze poświęcenie, chyliłem głowę przed waszym patriotyzmem. Byłem dumny i szczęśliwy, że przebywam wśród was i nie myślałem o opuszczeniu was kiedykolwiek.

Ale wy, którzy tak bardzo kochacie swoją ojczyznę, zrozumiecie lepiej niż ktokolwiek inny, że jeśli dziś was opuszczam, mam po temu powody szczególne. Życie moje poświęciłem mojej Ojczyźnie. Służyłem jej z całego serca i ze wszystkich moich sił. Wiecie dobrze, że jest ona nieszczęśliwa, że cierpi. I ona znowu teraz mnie powołuje. W takich przypadkach nic się nie liczy: ani wiek, ani stan zdrowia, ani ryzyko długiej i ciężkiej podróży. Odchodzę... i z tego właśnie powodu, to moje do was przesłanie pełne wdzięczności, zawiera w sobie także gorzką łzę pożegnania. [...] Dom nad brzegiem Jeziora Lemańskiego zostaje pusty. Czy wrócę kiedykolwiek do niego? Bóg jeden to wie. Lecz zostawiam tutaj swoje serce, i zapewniam was, że oceany, które będą nas rozdzielać, nie zdołają nigdy osłabić uczuć najbardziej serdecznych, najbardziej wdzięcznych i wiernych, jakie żywię wobec was, wobec drogiej Szwajcarii".

(tłum.: M. D.)

☆

Stany Zjednoczone, dla których Paderewski był już częścią ich własnej legendy ostatniego półwiecza, powitały go entuzjastycznie. Mistrz przybył do Nowego Jorku 6 listopada 1940 r. — dokładnie w dniu swoich osiemdziesiątych urodzin — na pokładzie statku handlowego „Excambion" należącego do American Export Lines. Szwajcarski dziennikarz Hugues Faesi dotarł po latach do zamieszkałego w Dallas w Texasie Ignacego Lagrange-Kołłupajły, który w 1940 r. towarzyszył grupie osób z Paderewskim na czele w podróży do Nowego Jorku i pozostawał potem blisko prezesa Rady Narodowej w ciągu ostatnich miesięcy jego życia. „Sa dernière étape" („Jego ostatni etap") to tytuł szkicu opublikowanego przez Faesi'ego w numerze trzecim „Annales Paderewski".

Początkowo zatrzymał się Paderewski wraz z towarzyszącymi mu osobami — była m.in. wśród nich jego siostra, Antonina Wilkońska — w nowojorskim hotelu Ritz. Okazał się on jednak zbyt kosztowny, więc wkrótce znaleziono w pobliżu Fifth Avenue nieco skromniejszy, ale również odpowiednio reprezentacyjny hotel „Buckingham", którego właściciele byli zachwyceni faktem goszczenia u siebie tak znakomitej osobistości. Tutaj też synowie słynnego Steinwaya ofiarowali do dyspozycji Mistrza jeden z najlepszych instrumentów, jakimi dysponowała ich firma.

Paderewski przyjechał do Stanów Zjednoczonych z myślą o zebraniu funduszy dla wyposażenia polskiej armii w Wielkiej Brytanii i z zamiarem akcji propagandowej na rzecz sprawy polskiej. Nie myślał jednak o wspieraniu owej akcji własnymi koncertowymi występami; po napaści Niemiec na Polskę w 1939 r. obiecał sobie solennie, że do chwili odzyskania przez jego kraj niepodległości nie będzie grał publicznie. Poza tym nie dopisywało mu zdrowie. Uległ nawet w pewnym momencie petycjom, jakie słali do niego amerykańscy wielbiciele, sprzedano już za drogie pieniądze wszystkie miejsca na jego koncert, który miał się odbyć w Madison Garden, ale ostatecznie musiano ten koncert odwołać. Sprzeciwił się kategorycznie występom polski lekarz, dr Jachimowicz, pod którego opieką przebywał Paderewski od chwili przybycia do Nowego Jorku. Jachimowicz wskazywał na niedomogi krążenia, na podrażnienie dróg oddechowych, właściwe wprawdzie wszystkim palaczom, ale nasilone i niebezpieczne przy wieku Paderewskiego. Ale najbardziej niepokoiły lekarza nasilające się ataki astmy, które powodował nowojorski klimat, charakteryzujący się ciągłymi skokami temperatury, a zwiększały je jeszcze burze śniegowe nawiedzające Nowy Jork. Dochód z biletów wykupionych na koncert Paderewskiego miał iść na wsparcie polskiej armii, o czym opinia publiczna była poinformowana wcześniej. I dlatego, gdy powiadomiono, że w związku z odwołaniem imprezy można zgłaszać się do kas po zwrot pieniędzy, nikt z nowojorczyków nie przyszedł z biletami. Wpłacone pieniądze mieszkańcy Nowego Jorku potraktowali jako dar dla walczącej Polski.

Mistrz z Riond-Bosson dał sobie wyperswadować występy muzyczne, ale nic nie mogło go odwieść od codziennego przyjmowania interesantów, którzy tłumnie ciągnęli do hotelu „Buckingham", od wyczerpujących jego siły kontaktów dyplomatycznych i nawet od telefonicznych rozmów z przebywającym w Londynie szefem polskiego rządu i Naczelnym Wodzem, generałem Władysławem Sikorskim.

W styczniu 1941 r. dr Jachimowicz zażądał jednak w sposób kategoryczny wyjazdu Paderewskiego na Florydę ze względu na klimat. Chcąc nie chcąc, Paderewski musiał ulec, zaznaczając jednak, że będzie tam tylko kilka tygodni. Wreszcie w lutym Paderewski i jego najbliższe otoczenie udało się pociągiem do Palm Beach. Niestety, klimat Florydy nie pomagał jakoś w poprawie zdrowia, a w dodatku Paderewski denerwował się z powodu zawieszenia spraw, które prowadził w Nowym Jorku. Samopoczucie poprawiła na pewien czas wizyta złożona Eleanor Roosevelt, która przebywała wtedy w niedalekiej Golden Beach i prosiła o to spotkanie m.in. ze względu na opracowywanie właśnie raportu o sprawach Polski dla jej męża, prezydenta Roosevelta.

Pod koniec marca 1941 r. Ignacy Paderewski znowu zaczął nastawać na powrót do Nowego Jorku, dr Jachimowicz sprzeciwiał się kategorycznie. Ostatecznie Paderewskj kolejny raz uległ, a stało się to w pewnej mierze także za sprawą żony nowojorskiego milionera, Edwarda T. Stotesbury, zwanej „władczynią Palm Beach", która wracając nad Zatokę Hudsońską, poprosiła Ignacego Paderewskiego o skorzystanie — jak długo zechce — z jej komfortowej posiadłości „El Mirasol". Właśnie w pałacu „El Mirasol" prezes Rady Narodowej spotkał się po raz ostatni z przybyłymi do Stanów Zjednoczonych na rozmowy z prezydentem Rooseveltem — generałem Władysławem Sikorskim i Stanisławem Mikołajczykiem. Spotkanie w Palm Beach odbyło się w czasie świąt wielkanocnych.

Dokończenie na str. 10

Regionalne to znaczy polskie

Feliks Fornalczyk

OD DNA Adolf Lekki odbił się dopiero wydaną w Wydawnictwie Lubelskim powieścią „Bezdroża", był to rok 1962. Przedtem Lekki wydał w „Książce i Wiedzy" powieść o kolektywizacji „Przełom" (1951) oraz agitacyjną broszurę o gminnych spółdzielniach „Chłopska sprawa" (1954) i na poły reporterskie kartki z kroniki zespołu pieśni i tańca „Radość zwycięstwa" (1956); dwie ostatnie pozycje ukazały się nakładem lokalnych mecenasów w Opolu. Ale do publikacji, które poprzedziły „Bezdroża", autor niechętnie powraca nie od dziś, uszanujmy więc wolę pisarza i potraktujmy jego juwenilia jako nieodzowne koszty własne, poniesione w czasach jak najfatalniejszych dla literatury.

Adolf Lekki swoim życiorysem mógłby obdzielić hojnie niejednego młodego pisarza. W moim przekonaniu zresztą nie wykorzystał on jeszcze dotąd w pełni własnych doświadczeń życiowych, aczkolwiek bez tych doświadczeń trudno byłoby sobie wyobrazić jego powieściopisarstwo. Pisarstwo zbieżne z doświadczeniami pokolenia Kolumbów, lecz naznaczone przy tym piętnem przedsięwzięć rekonstrukcyjnych ex post, wynikających stąd, że Lekki okres okupacji spędził na robotach przymusowych w III Rzeszy, lata zaś powojenne w różnych ośrodkach Ziem Odzyskanych i nie wyzbył się do dziś pewnej uległości wobec tematów narzucanych.

Ale niewątpliwie własnym, wyprowadzonym z własnego życiorysu pisarza, jest w jego dorobku motyw nie akceptowanego przybysza-przybłędy, człowieka zatem nowego, nie znanego w lokalnym środowisku, którego akceptują i przyjmują z owartymi rękami młode kobiety, ale nie akceptują ich rodzice, starsza generacja, zasiedziała zbiorowość osady. Motyw ten pojawił się już zarodkowo w „Bezdrożach", a w postaci rozwiniętej występował w każdej powieści Lekkiego, aż po ostatnią pt. „Między nami czarne morze". Oczywiście, w każdej z tych powieści ów koronny przybłęda jest kim innym, w zależności od czasu i miejsca przeżywa też odmienne perypetie osobiste, sprowadza odmienne skomplikowania w życiu zbiorowości, w której znalazł przytulisko.

W pierwszych powieściach drugiego okresu pisarstwa Adolfa Lekkiego dramaturgia zdarzeń obejmowała lata wojny i okupacji oraz nie mniej niebezpieczne lata powojnia, następnie pisarz ograniczył akcję powieściową do czasów powojennych, ale w sposób wyraźny uzależniał ją od zaszłości mających miejsce w czasie okupacji; dopiero najświeższa powieść „Między nami czarne morze" rozgrywa się współcześnie, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Temu rozgraniczeniu czasowemu były podporządkowane konsekwentnie wątki ogólniejsze: okupacyjne zniewolenie, konflikty polsko-niemieckie, organizacja partii i lewicowej partyzantki, jedynie w „Między nami czarne morze" pisarz pominął wcześniejsze uwarunkowania polityczno-narodowe i wyakcentował konflikty między właścicielami gruntów i przybyszami w Lubelskim Zagłębiu Węglowym.

Atutem Adolfa Lekkiego jest umiejętność podawania mało znanych szczegółów o jeszcze mniej znanych środowiskach przy pomocy intrygującej, wciągającej fabuły o posmaku sensacyjno-dydaktycznym. W „Bezdrożach" tyczyło to jeńców radzieckich i sposobów ich wciągania do współpracy z Niemcami, w „Zmierzchu" formowania się lewicowego podziemia na Zamojszczyźnie; w „Niespokojnym zachodzie" powojennego dochodzenia sprawiedliwości za krzywdy okupacyjne wobec ukrywającego się zbrodniarza hitlerowskiego; w „Nim wzejdzie słońce" takiegoż dochodzenia sprawiedliwości wobec zbrodniarza ukraińskiego; w „Dalekich drogach" organizacji lewicowego ruchu oporu w środowisku lubelskiego węzła kolejarskiego, w „Między nami czarne morze" natomiast ofiar, jakie w następstwie industrializacji poniosła gospodarka rolna Lubelszczyzny.

Pisarstwo Lekkiego — jak z tego wynika — znamionują wyraźnie akcentowane tendencje poznawczo-dydaktyzujące, bywa więc, że warstwa informacyjna nie jest należycie zasymilowana w obrębie powieści, a sensacyjna fabuła kłóci się z epickimi, panoramicznymi założeniami ideowymi. Aczkolwiek istnieje jeden wyjątek, powieść dla młodzieży „Przygoda nad siedmioma źródłami", w której założenia autorskie i wykorzystany materiał informacyjny pozostają w idealnej zgodzie z zastosowanymi środkami pisarskimi. W tej przygodowej, harcerskiej powieści Adolf Lekki ujawnił nie wykorzystane dotąd dyspozycje narracyjne, które pozwalają jak najlepiej rokować o tej dziedzinie jego warsztatu. Szkoda, że „Przygoda nad siedmioma źródłami" nie została zauważona przez opinię literacką kraju.

Adolf Lekki lokuje zazwyczaj zdarzenia powieściowe na obszarze Lubelszczyzny, ale mieszczą się one w obrębie ogólnych tendencji rozwojowych historii ostatnich dziesiątków lat, właściwych dla historii Polski. Regułę tę następująco uzasadnia narrator powieści „Przygoda nad siedmioma źródłami": „Nie znać historii swego kraju to wstyd, ale nie znać historii swego województwa — to nieuctwo". Zdanie to może obstać za program pisarski Lekkiego, wie on bowiem (co wiedzieć powinien także każdy nie uprzedzony objaśniacz literatury), że tematyce regionalnej znacznie trudniej przebić się do świadomości ogółu, niż ogólnopolskiej. W tej dziedzinie zaiste niezmierzone pole do działania pozostaje nadal nie tylko przed pisarzami, lecz również przed wydawnictwami regionalnymi.

W taką mapę Lekki wpisuje zindywidualizowane losy trzech pokoleń bohaterów. Tę wersję lubelski pisarz zaprezentował po raz pierwszy w powieści „Zmierzch" i podtrzymał następnie w powieściach: „Nim wzejdzie słońce" oraz „Dalekie drogi". Znamienne przy tym, że mężczyźni — prostolinijni, zdecydowani i konsekwentni — niezmiennie i od początku do końca aż do przesady obstają przy swoich zapatrywaniach; kobiety przeciwnie: kierują się uczuciami i z biegiem czasu swoim postępowaniem upodabniają się całkowicie do swoich babek, matek i teściowych. To znaczy ulegają instynktowi macierzyńskiemu, strzegą stanu swego posiadania i są zdecydowane na wszystko w obronie dobra dzieci, co nie zyskuje im sympatii w otoczeniu. Mężczyźni — z wyjątkiem Antoniego Dębicy z powieści „Między nami czarne morze" — potrafią zachować znacznie więcej rozwagi i tolerancji.

Wszelako nie są to postawy jednoznacznie czarno-białe. Adolf Lekki wiele starań wkłada bowiem w indywidualizację charakterów i postępowania swoich bohaterów. Dążność ta różnicuje się wyraźnie z powieści na powieść, ale jest także postrzegalna w obrębie każdej powieści z osobna. Pisarz efekt ten osiąga w następstwie powoływania do akcji krwistych, kochliwych i kontrastujących z sobą postaci, najpierw — jak na przykład w „Bezdrożach" czy „Niespokojnym zachodzie", gdzie bohaterami była społeczność różnonarodowa — owo kontrastowanie charakterów miało podłoże niejako historyczne, w innych, późniejszych powieściach — jak „Zmierzch", „Nim wzejdzie słońce" czy „Między nami czarne morze" — o doborze bohaterów i kolizjach ich życia decydowały „studia terenowe", autora, jego prywatna wiedza o komplikacjach codziennego życia.

I w jednym, i drugim przypadku łatwo ulec konwencjom i schematyzmowi widzenia zjawisk, ulega im także po trosze Adolf Lekki, zwłaszcza w tych fragmentach, w których stara się dać świadectwo tak zwanym obiektywnym procesom historycznym. Obiektywizm w historii to zjawisko wręcz klinicznie subiektywne i — jak dowodzą dzieje powojennej historiografii — nad wszelki wyraz zmienne. Im mniej zatem pisarz zawierza obiegowym formułkom i im więcej ufa swojemu instynktowi i wiedzy prywatnej, tym dla jego twórczości lepiej. Adolf Lekki niejednokroć odwoływał się do tego typu inspiracji i wtedy powstawały takie powieści jak „Bezdroża", „Zmierzch" czy „Nim wzjedzie słońce" i źle na tym nie wychodził. A jeśli już — jak w przypadku „Dalekich dróg" czy „Między nami czarne morze" — poddawał się sugestiom zewnętrznym, stosował w nich wzbogacający sposób relacji zdarzeń.

Polegało to na wprowadzeniu dwóch rywalizujących ze sobą narratorów-bohaterów; we wszystkich innych powieściach Lekki posługiwał się tradycyjną odmianą odautorskiego, wszechwiedzącego narratora. Twórczość Adolfa Lekkiego znamionuje też nie od dziś pionierstwo tematyczne, czego najdobitniejszym przykładem (nie przewyższonym już później w tej skali) była powieść „Bezdroża". Adolf Lekki był bowiem pierwszym (i ostatnim!) autorem, który podjął temat współpracy z Niemcami jeńców radzieckich. Posłużył się po temu postacią młodszego lejtnanta Aleksieja Gutenberga (syna niemieckiego osadnika), który na zlecenie SS podjął pracę w hitlerowskiej dywersji radiowej, uczestniczył w werbowaniu jeńców do „odrodzonej armii rosyjskiej" Własowa; wcielony następnie do Schutzpolizei, brał udział w akcji wysiedlania ludności polskiej z Zamojszczyzny i likwidacji ogniw organizacji komunistycznej.

Przypadek Aleksieja Gutenberga, jak się już rzekło, zainicjował całą serię różnego typu wcieleń motywu przybysza-przybłędy. Aleksy przywędrował na ziemie polskie, na Lubelszczyznę, wbrew swej woli; dostał się tu w transporcie rannych żołnierzy radzieckich, zniewolony przez Niemców przystał na ich propozycję, przybrał obcy mundur, co mieli mu za złe jego współtowarzysze niedoli, ale nie uczynił tego w złych intencjach i nie wyrządził krzywdy nikomu z miejscowych mieszkańców. Obrócił w końcu broń przeciwko wspólnym wrogom, przystał do partyzantów i przypłacił tę decyzję życiem. Tragicznie zakończył się także wątek romansowy Aleksego, śmierć poniosła bowiem również jego ukochana powierniczka i współpracowniczka, sanitariuszka Edeltrauth Kranz. Dodajmy tu od razu, iż za dalszy ciąg „Bezdroży" może uchodzić powieść „Niespokojny zachód", rozwijająca się w realiach powojennego Dolnego Śląska, gdzie były partyzant AL, Stanisław Michura, dochodzi sprawiedliwości na mordercy swoich rodziców, gestapowcu Schneidemanie; a także powieść „Nim wzejdzie słońce", rozpatrująca analogiczny motyw w odniesieniu do nacjonalisty ukraińskiego.

Ale przybyszem-przybłędą jest także polski ślusarz z fabryki ze Starachowic, Andrzej Rodak, bohater powieści „Zmierzch", który w swoim bezskutecznym pościgu za uchodzącym na wschód pułkiem trafił do ustronnego Krzykowa koło Zamościa; drogę odwrotną — ze wsi do miasta Lublina — przebył za okupacji inny przybysz-przybłęda, „zarażony czerwonką" ZWM-owiec Janek Solarz z powieści „Dalekie drogi"; opiekę w mieście zapewnił mu stary maszynista Rojek. Andrzej Rodak został w Krzykowie przygarnięty przez żołnierkę Annę Ziętkową, decyzja ta skomplikowała osobiste życie tej osamotnionej kobiety oraz jej

5 lat razem

WYROSŁE pod skrzydłami macierzystej filharmonii, Lubelskie Trio Stroikowe należy do wąskiego grona najlepszych wykonawców. Trzej panowie: Jan Arnal — obój, Andrzej Mazur — klarnet i Henryk Bystrzejewski — fagot cieszą się zasłużoną sławą wrażliwych i pracowitych muzyków. Dwaj pierwsi ponadto — również wzorowych pedagogów, jako że wielu spośród ich wychowanków podjęło już studia wyższe kontynuując je z dużym powodzeniem.

W marcowym jubileuszowym koncercie Tria, wieńczącym 5 lat trudów, muzykom towarzyszyła współpracująca z zespołem akompaniatorka Marta Szermińska-Mazur. Koncert prowadziła Anna Krzyżanowska. Program wieczoru wypełniły interesujące utwory kameralne Ph. E. Bacha, L. van Beethovena, C. M. Webera, T. Constante i Fr. Poulânca.

Jubileusze zwykle skłaniają do refleksji. Obserwując rozwój zespołu od przysłowiowych pierwszych kroków, z satysfakcją dostrzegam jego sukcesywną konsolidację. Bez cienia przesady już teraz można stwierdzić, iż utalentowani lubelscy muzycy: J. Arnal, A. Mazur i H. Bystrzejewski stworzyli zespół, który pozostanie trwałą wartością Lubelskiej Filharmonii.

Teresa Księska

KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI

Próba chłopskiego eposu

KIEDY czytałem nową powieść Marii Józefackiej „Gorczyca", nie odparcie przypominało mi się zdanie Orwella: „Pisząc powieść, autor powinien tworzyć żywych ludzi, ludzi nie postacie. Postać jest karykaturą. Jeżeli pisarz potrafi sprawić, żeby ludzie żyli w jego książce, może tam nie być wielkich postaci, ale jest możliwe, że ta książka ostanie się jako całość, jako istność, jako powieść".

Maria Józefacka, pisarka znana do tej pory z pięknych wierszy i książek prozą dla młodzieży, powieścią „Gorczyca" o chłopskiej rodzinie ze wsi Zalesie wkracza niezwykle zdecydowanie do tzw. twórczości dorosłej. To udana powieść. Gęsta treściowo, w języku konkretna i odkrywcza. Kto wie, czy nie jest jeszcze jednym argumentem dla słynnej już „rewolucji artystycznej", którą w ubiegłym roku ogłosił na łamach „Regionów" i „Twórczości" Henryk Bereza, dopatrując się burzenia nijakości w literaturze głównie poprzez nowy język, odkrywczość w słowie. Kto to w prozie polskiej robi, nie będę tu przypominał, ale Józefacką tamże dopisuj.

Wcześniej trzeba się zatrzymać nad treścią. Można powiedzieć, że idzie o próbę chłopskiego eposu, ale lepiej określić utwór pisarki jako sagę walki o chłopską niepodległość. Stefan Gorczyca, pionier całego rodu, przeszedł szlak walki o dochowanie niepodległości nie tyle „z gębą podziurawioną jak rzeszoto", co z krzyżem Virtuti Militari. Jego syn Michał był kontynuatorem ojcowskiej sztafety i w myśli, i w czynie. Konspiracja, nauki patriotyczne pobierane u nauczyciela, a później w „Wici", wieści o losie wszystkich Polaków, nasłuchiwane ze świata i skąpo cieknące strużką z detektorowego radia — to było budowanie u Gorczyców tej chłopskiej nieugiętości i chłopskiego postanowienia, że wróg nas nie zniszczy. Żona Stefana, Aniela, później matka Michała, opornie przystaje na idee i namiętne pragnienie walki męża i potem syna. Ona jednak nie przekonuje ich w niczym, oni zmieniają ją przynajmniej w części. Stefan pociągnął do partyzantki. Potem inne czasy, wyzwolenie. „Za Niemca było jeszcze, kto swój, kto wyrodek. Ciężko, ale dało się żyć, w potrzebie nie opuścili, prędzej wiedziałeś, z kim trzymać. Teraz z godziny na godzinę mogło się w człowieku poprzestawiać. Dawny przyjaciel teraz wróg, niekoniecznie za poglądy — za dostęp. Poglądów lepiej było nie mieć, żadnych. A znowuż przyjeżdżali z Czarnej, obiecywali złote góry jeszcze większe i żeby uwierzyć. Na drugi dzień przychodzili inni, kieszenie wypchane, rzemyk pod pachą i gadali całkiem inaczej, też obiecując. Tu wiara i tam wiara, ubogiemu gówno w garść".

Jest ta historia Gorczyców z Zalesia pociągnięta jeszcze dalej. Aż do czasów, gdy we wsi „całkiem jak na przedmieściu: pustaki z żużla, albo siporeksu, elegancko, pod płaskim dachem, z balkonami, na które się

teściów i — jak w przypadku Janka Solarza — przyniosła tragiczne konsekwencje dla domu dobroczyńców. Stało się bowiem tak, że mąż Anny nie wrócił z wojny, samotna żołnierka rozpoczęła z Andrzejem „życie na wiarę" (to samo powtórzy się w przypadku jej córki z pierwszego małżeństwa!), co nadszarpnęło reputację Anny w opinii wsi. A że Andrzej rozpoczął w nieodległym czasie działalność w ruchu lewicowym, do uprzedzeń obyczajowych doszedł jeszcze czynnik natury politycznej. Ten splot doprowadził też w konsekwencji do tragicznych rozstrzygnięć, typowych dla czasów okupacji.

Na tym tle dokonywało się coś, co można by nazwać uspołecznieniem indywidualnych motywacji bohaterów, mężczyzn i kobiet, przez fakt, że sprawy osobiste splotły się w jeden węzeł z politycznymi. Kapitalnie te współzależności ujęła pierwsza narratorka „Zmierzchu", Anna Ziętkowa-Rodakowa. Najpierw co do unarodowienia osobistych, rodzinnych i sąsiedzkich motywacji: „Aż przyszło z zewnątrz nieszczęście i oto czujemy, że jesteśmy ze sobą związani, że oprócz więzów rodzinnych, sympatii, znajomości, sprzeczek i kłótni łączy nas z sobą inne uczucie, szersze, bardziej głębokie". Z kolei co do źródeł poświęcenia: „Póki życia — póty nadziei". Wszelako już po wyzwoleniu głosicielka tych poglądów dokonała nagłej zmiany w swoim postępowaniu; ogarnięta irracjonalnym przywiązaniem do ziemi (motyw ten odgrywa istotną rolę w większości książek Lekkiego!) i dziedzictwa, Anna przeciwstawiła się mężowi i decyzjom reprezentowanej przez niego władzy ludowej. Ta szaleńcza decyzja przyniosła jak najgorsze skutki w dalszym życiu Anny.

Zdawać by się mogło, że to przypadek odosobniony, wyjątkowy, ale i to zjawisko miało również swoje głębsze motywacje w incipicie Polski Ludowej, na przełomie lat 1944/45, o czym mówi w powieści córka Anny, Basia: „Oto moi sąsiedzi: większość z nich podobna jest do mamy. Chwalą władzę, gdy przydziela im materiały budowlane, nawozy sztuczne, gdy buduje szkoły i kształci ich dzieci [...]. Są także wśród sąsiadów dwie mniejsze, całkowicie przeciwstawne sobie grupy. Jedna z nich — podobnie jak ojciec — gotowa za nową władzę oddać życie, druga — chętnie utopiłaby ją w łyżce wody". Słowa te odnoszą się do początku Polski Ludowej, lecz czy ich moc obowiązująca przestała znaczyć w czasie późniejszym i teraźniejszym?

Do pierwszej z wymienionych przez córkę Anny grup należał bohater powieści „Niespokojny zachód", kierownik sklepu spółdzielczego w Skrobowie, Stach Michura, który wypowiada zdanie zbliżone do okupacyjnych wynurzeń Anny Ziętkowej-Rodakowej: „Jeszcze do niedawna żyłem z dnia na dzień, zajęty wyłącznie jednym pragnieniem [zemsty]. Teraz [w powojennym Skrobowie] życie zaczęło się komplikować, do dawnych dodawać nowe obrazy [...]. Czułem, że misterna sieć interesów społecznych oplata mnie coraz ciaśniej, wciąga i podporządkowuje jakiejś wyższej racji". Zarówno Anna jak i Stach nie potrafią dokładnie sprecyzować owych „wyższych racji", mając do wyboru między „czerwonym i czarnym", włączyli się czynnie do wykonywania oczekiwanych od nich zadań i tym sposobem opowiedzieli się po stronie słusznej sprawy.

W realiach powojennych motyw przybłędy odgrywa wreszcie znaczącą rolę w powieści „Nim wzejdzie słońce". W czasie przeszłym przybłędą był tu główny bohater, Bolek Zgorzelski, przybłędą połowy lat sześćdziesiątych jest zakamuflowany zbrodniarz ukraiński, który występuje pod przybranym nazwiskiem Adama Kopcia. Korzystając z industrializacyjnej wędrówki ludów, przybył on do wsi Słotwiny koło Puław, zjednał sobie najbardziej urodziwą miejscową dziewczynę, Wandę Leduchównę, rozpoczął z nią „życie na wiarę" (to nieodłączny składnik motywu przybłędy!) i objął kierownictwo gminnej spółdzielni. Niedokładna inwentaryzacja wykazała manko w sklepie, w związku z czym pan kierownik dał dyla ze wsi. Rzecz jednak tkwiła w tym, że manka w istocie nie było, co dało zorientowanym powód do domysłów, iż prawdziwym powodem ucieczki Adama musiały być inne przyczyny. I tak od nitki do kłębka — w wiele lat po wojnie — wyszła na jaw jeszcze jedna sprawa ludzka, zakorzeniona w odległej przeszłości.

Regułą ostatnich powieści Lekkiego jest bowiem to, że im bardziej oddalają się sprawy politycznych powikłań wlokące się od czasów wojny i okupacji, tym większego znaczenia nabierają komplikacje osobiste bohaterów, wynikające z procesów społeczno-ekonomicznych dnia dzisiejszego, związane głównie z industrializacją. Oto stosowne przykłady. Przeważającą część społeczności powieści „Nim wzejdzie słońce" stanowią dwuzawodowcy (chłoporobotnicy) zatrudnieni przy budowie puławskich Azotów (dzieje się ona pośród wstępnego rozregulowania gospodarki i wzrastającego niezadowolenia różnych zbiorowości), z kolei w ostatniej powieści „Między nami czarne morze" opisywana społeczność dzieli się na miejscowych rolników broniących swego stanu posiadania oraz na przybyłych z innych stron operatorów nowoczesnych urządzeń wiertniczych i głębiących szyby. Pierwszych reprezentuje stary „pniak" Antoni Dębica, drugich młody technik z kategorii przybłędów, Czesław Tylec.

Adolf Lekki wpisuje zdarzenia powieściowe w identyczną siatkę faktów historycznych, zmienia tylko miejsca zdarzeń i uczestniczących w nich bohaterów. Owa siatka konstrukcyjna niezmiennie uwzględnia: wojnę i okupację, kontygenty, pacyfikacje, tworzenie PPR, eksterminację Zamojszczyzny, partyzantkę AL i BCh, Majdanek, manifest PKWN, otwarcie szkół i uniwersytetu w Lublinie, odbudowę spalonych zabudowań, walki z bandami, tworzenie placówek handlowych, Azoty i Lubelskie Zagłębie Węglowe. I powtarzalne są ponadto sytuacje dramatyczne, to znaczy różne wojenno-okupacyjne przypadki prześladują ich uczestników do dziś, albo kierują nimi do dziś. Regułą bowiem pisarstwa Lekkiego jest to, że uczestnicy zdarzeń — niezależnie od tego, czy są już emerytami, czy należą do czynnej zawodowo generacji — od wybuchu wojny wrześniowej 1939 roku nie zaznali ulgi i żyją stale w atmosferze trudności, zagrożenia i stressów.

---

przeważnie nie otwiera, bo przeciąg: tynk w pasy z tłuczonych luster, aż w oczy bije, kiedy się do wsi dojeżdża".

Powieść Marii Józefackiej jest zamierzona z rozmachem. Najbogaciej prezentuje się tu pierwsze pokolenie Gorczyców, którzy swój żywot spędzili w okresie międzywojnia głównie. Dzieje późniejsze są jakby skrócone, coraz gwałtowniejsze. Gorczyce, puszczeni na falę rzeki przemian, stają się w każdym razie jej głównymi wioślarzami. Dlatego, czytając utwór Józefackiej, trzeba się spodziewać coraz to nowych i coraz tragiczniejszych zdarzeń z ich losu. Mimo że jest on opowiedziany dość niezwyczajnym językiem, odwołującym się do archaizmów i wyrażeń gwarowych, nie szkodzi to bystrej rytmice powieści. Dawno nie spotkałem się z tak konsekwentnie w pisarstwie nurtu chłopskiego przeprowadzoną archaizacją, zachowaniem słownictwa, które z oficjalnego i nieoficjalnego („dzięki" głównie Polskiej Telewizji) dawno wyciekło, lecz wpadłszy we wrażliwe ucho pisarza zostaje zachowane niby żuki zastygłe w drogocennym bursztynie. Jest więc w tej książce ujmująca melodyka mowy i wiele językowej oryginalności, wymykającej się ustawicznie wszelkiemu definiowaniu. Jak to zrobiła Józefacka, wie ona tylko sama.

Wracając jednak jeszcze do treści, warto dodać, że nie jest to książka np. w stylu Kawalca. Nie chodzi tu bowiem o żaden awans (jakże dokumentnemu przewartościowaniu musi ulec dzisiaj ten proces i jego ocena). Idzie pisarce o to, co najbardziej uczłowiecza chłopską rodzinę, co ją czyni uwłaszczoną duchowo — taką rodzinę, która z własnej, chłopskiej mądrości opowiadała się zawsze za narodową sprawą, za wiernością ojczyźnie, za ziemią, językiem, pracą. Józefacka określa, dzięki swoim dziełom jakie miejsce w historii zajmuje człowiek o chłopskim rodowodzie, a którego nigdy nie określała sielskość. Tak wczoraj, jak i dzisiaj.

Gorczyca jest obdarzony niewyczerpalnym źródłem wzruszeń i namiętności, staje się człowiekiem pełnym dobra i zła, pełnym obowiązków, pełnym tej sprzeczności, jaka tworzy jego świat i jego życie.

Dla krytyki zawodowej powieść Józefackiej powinna stać się inspiracją do zastanowienia nad świeżością językową i psychologiczną, którą ujawnił tzw. nurt chłopski w literaturze, nad tym, jak chłopska chałupa, jako źródło wiedzy o świecie, o człowieku, chałupa jako księga ksiąg, jest niepodważalnym źródłem wiedzy o narodzie. Nie może tu być mowy o żadnych preferencjach dla tej literatury, a można jedynie mówić o duchowym wyzwoleniu klasy, z uruchomieniem niesłychanie bogatych treści, które przemawiają do nas wprost, bez niczyjego pośrednictwa. Nurt chłopski — jakby powiedział — Henryk Bereza — został jednak może najbardziej otwarty na cały porywający obszar przemian, przemian osobowości i duchowości człowieka, na jego wartości i złożoność, na to, kim człowiek objawi się jako jednostka afirmująca się przez czyny.

Takie spojrzenie jest aktualne jeszcze bardziej dzisiaj.

Autorce „Gorczycy" trzeba tej powieści pogratulować, a jednocześnie życzyć, aby zastanowiła się, czy nie jest to wielki szkic do wielkiego, kilkutomowego eposu, który, przy tej umiejętności narracji i włożonego tam temperamentu, mógłby także spełnić rolę powieści-rzeki.

Zygmunt Wójcik

Maria Józefacka: Gorczyca, Wydawnictwo Lubelskie 1981.

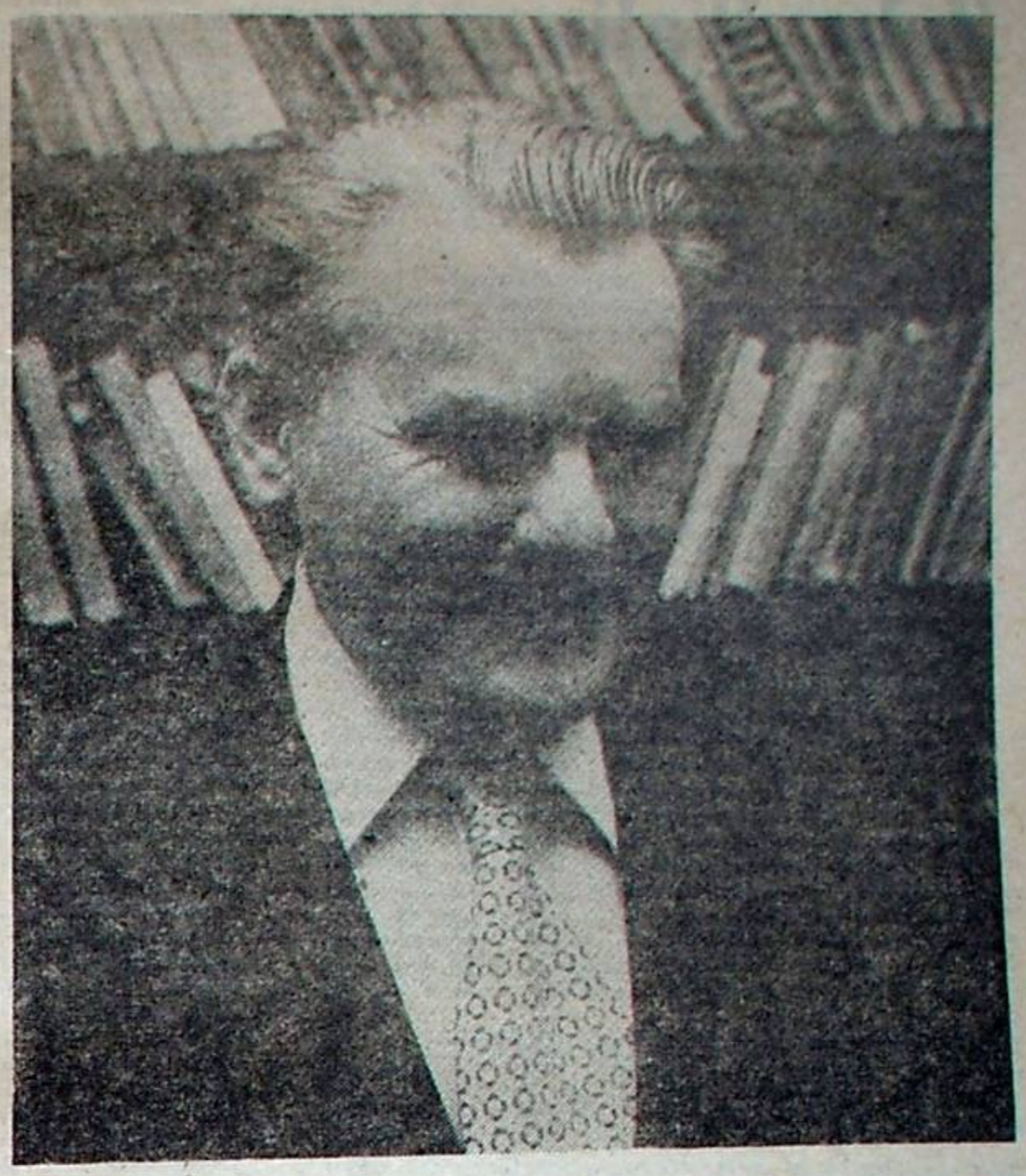

Fot.: Waldemar Stępień

Nie wierzę Kassandrze...

Adolf Lekki

TRZYDZIEŚCI lat minęło od czasu, kiedy na półkach księgarskich zobaczyłem pierwszą książkę podpisaną moim nazwiskiem. Oglądałem ich potem dwanaście, a mimo to mam uczucie, że o najważniejszych sprawach jeszcze nie napisałem, że jestem zaledwie w połowie drogi. Czemu to przypisać?

Memu pokoleniu nie sądzone było żyć w czasach, kiedy młody człowiek przyjmował tradycje rodzinne, społeczne i narodowe, po czym kontynuował je według swoich sił i zdolności. Ja, jeden z tego pokolenia, ciągle muszę się leczyć. Ledwo trzema powieściami zagoiłem jako tako okupacyjne rany, już trafiłem w czas błędów i wypaczeń. Jeszcze się z tym nie uporałem we własnej twórczości, a już spadł na mnie pierwszy kryzys gospodarczy, by wreszcie wynieść mnie na kwiecistą łączkę propagandy sukcesu. Patrzyłem szeroko otwartymi oczami, słuchałem, wchłaniałem słowa krzepiące, przynoszące ulgę:

„Pisarze i wszyscy twórcy wiele mogą zdziałać w leczeniu ran i bólów, które dotknęły dużą część społeczeństwa. Najważniejsze: działanie na rzecz równowagi umysłów. Doraźnie. Zaś długofalowo i wiecznie: wszystko co w narodzie najlepsze z romantycznych i patriotycznych uczuć, co w młodzieży ukryte w emocjach i poszukiwaniach — przetwarzać przy pomocy pióra, tonu, dłuta i pędzla na rzecz humanistycznych i rewolucyjnych treści socjalizmu" (W M, „Życie Literackie" 31.I.71).

Nauczony doświadczeniem, ostrożnie przyjmowałem te wskazówki, milczałem, obserwowałem, szukałem prawdy. Kilku lat wystarczyło, by pod płaszczem niewątpliwych osiągnięć dostrzec przerażającą prawdę: jak to jest, że w tym kraju niektórym wolno ukraść cały zaprzęg, a innemu nie wolno dotknąć dyszla? A kiedy i mnie zaproponowano działkę, narodziła się fraszka:

wciąż niepewność trwa,
bo to wszystko małe gierki,
a gdzie Wielka Gra?

Polak wszystko potrafił. Jedni, a tych była większość, rzeczywiście pracowali z poświęceniem — drudzy, niemała mniejszość, budowali wille, zarabiali na polowaniach, płaszczykiem „socjalistycznego patriotyzmu" zakrywali swoje łajdactwa. Piękne słowa sprzed dziesięciu lat zatracały swój sens. Wielka Gra zbliżała się nieuchronnie.

W ubiegły sierpień było pięknie, wzniośle i, co najważniejsze, bezkrwawo. Ale minęło zaledwie półtora roku, a człowiek, którego na oczy nie widziałem, o którym nigdy nie słyszałem, obiecywał wybudować szubienicę dla najlepszych z mego pokolenia. Powiedz nieznajomy: kim naprawdę jesteś? Jaki cel ci przyświeca? Jak o tobie pisać prawdę?

Po trzydziestu latach nawet z lubelskiego pagórka widać daleką przeszłość i najbliższą przyszłość. Mimo błędów, wypaczeń, ogromu cierpień zadanych ludziom przez ludzi, na przeszłość spoglądam bez rumieńca wstydu. Tylko człowiek całkowicie wyzuty z poczucia sprawiedliwości mógłby w czambuł potępić nasze przeszłe dokonania i nie dostrzec zmian, jakie zaszły w Polsce. Zmian trwałych, stanowiących opokę przyszłości. A najbliższa przyszłość?

Jest jedna wartość, którą z uporem eksponowałem w dotychczasowej twórczości literackiej i którą nadal będę gloryfikował: praca człowiecza! Jest jeden czynnik mogący szybko wyprowadzić kraj z kryzysu: praca człowiecza! A już sprawą Polaków jest zadbać, aby nie była to praca Syzyfów.

Ja powtarzam za Janem Lechoniem:
Na końcu będzie wszystko wyglądać inaczej

Ja dawno już mówiłem:
Kassandra się myli.

Listopad, 1981 r.

Żeby Walia była Walią

Dokończenie ze str. 1

Zjednoczone Królestwo faktycznie nigdy nie było „zjednoczone". Przyczynkiem do jego historii przede wszystkim stały się heroiczne zmagania Celtów z germańskimi najeźdźcami i ciemiężycielami.

Pięć języków celtyckich — walijski, kornwalijski, szkocki, mański, irlandzki — to właśnie języki tzw. mniejszości narodowych w obrębie Zjednoczonego Królestwa.

Giacomo Prampolini, włoski poeta i krytyk, pisał o literaturach reprezentujących języki mniejszości narodowych, że „stanowią przykład ufnej żywotności i parcia w przyszłość, zjawiska niezwykle interesującego z punktu widzenia nauki i historii, a zarazem wzruszającego, gdyż wydają się towarzyszyć rozkwitaniu drzewa, nowej młodości rodzaju ludzkiego".

A co się dzieje w Walii? Zanim odpowiemy na to pytanie, przypomnijmy, że mija siedemset lat od chwili śmierci Llewelyna II, ostatniego walijskiego króla Walii, zabitego przez Anglików w bitwie pod Cilmeri w 1282 r. Siedemset lat trwa walka narodu walijskiego o odzyskanie utraconej niepodległości i wolności, o prawo do kontynuowania własnych tradycji, własnego języka i kultury, o poszanowanie tych wszystkich elementów narodowej odrębności Walijczyków, które przez długi czas były i są brutalnie deptane przez silniejszego sąsiada ze Wschodu.

Walijczycy mówią o swoim języku, że „przetrwał tylko cudem". My, Polacy, z dumą opowiadamy o naszych tradycjach walki o niepodległość. Walia utraciła niepodległość pięćset lat wcześniej niż Polska, a rozpoczęta wówczas anglosaska okupacja trwa w Wali po dziś dzień. Dewizą króla Edwarda I było powiedzenie: „Z Walijczyków musimy jak najszybciej zrobić Anglików". Istota hasła „EIN VOLK — EIN REICH — EIN FÜHRER" narodziła się na długo przed Hitlerem. Ale wszystkie „zjednoczone królestwa" czeka los Brytyjskiego Imperium. Bowiem rewolucja jest jak wybuch wulkanu. Nie da się powstrzymać.

A odpowiedź na pytanie „Co dzieje się w Walii?" daje Ned Thomas w książce „THE WELSH EXTREMIST", która nie przestaje być bestsellerem.

Najnowsza fala rewolucji etnicznej w Walii szarżuje zdecydowanymi hasłami: „WOLNA WALIA — WALIJSKA WALIA!", „NARÓD BEZ JĘZYKA — NARÓD BEZ SERCA!", WALIA DLA WALIJCZYKÓW!", „WALIA NA ZAWSZE!". Czy ktokolwiek ma jeszcze wątpliwości co do tego, co się dzieje w Walii?

Nie tak dawno temu w szkołach w Wali wymierzano kary cielesne dzieciom, które śmiały mówić po walijsku. O obowiązku posługiwania się angielskim przypominała deska zaopatrzona w sznur i napis „WELSCH NOT".

Jeszcze w drugiej połowie XIX w. walijski uważany był przez Anglików za język „barbarzyński", a Walijczyk nie znający angielskiego uznawany za „dzikusa". Walijczyk, który chciał się posłużyć w sądzie swoim językiem, obowiązany był wynająć urzędowego tłumacza. Prawo to obowiązywało jeszcze w 1942 r.!

Masowe aresztowania oraz wtrącanie do więzienia uczestników akcji protestacyjnych w obronie równych praw dla języka walijskiego trwały aż do roku 1967, kiedy to Akt Języka Walijskiego formalnie zrównał go w prawach z angielskim. W latach siedemdziesiątych miały miejsce gwałtowne protesty Walijczyków przeciwko akcji wykupywania domów w Walii przez bogatych Anglików.

A co będzie jutro?

Literatura celtycka jest praktycznie w Polsce nieznana. Znakomici wydawcy z niezrozumiałym uporem za „literaturę na świecie" uważają przekłady z czterech podstawowych języków autorstwa nielicznej grupy osób zawodowo parającej się wykonywaniem rzemiosła tłumacza. Tylko czekać, jak będziemy mieli ustawowo zagwarantowane dziedziczenie tej rzemieślniczej sztuki!

Ernest Renan uważa, że „MABINOGION" były tym arcydziełem, które promieniowało potęgą wyobrażeń na całą średniowieczną Europę. Aby lepiej zrozumieć, czym jest owe jedenaście utworów pod wspólnym tytułem, zacytujemy fragment opowiadania Johna Gwilyma Jonesa pt. „ZAŚLUBINY"

„Chciałbym być krytykiem, który by umiał ułożyć księgi wieków wedle ich wartości. Ale to oczywiście niemożliwe. Byłoby jednak nietrudno wybrać dzieła z obu końców. Biblia i Mabinogion zabrzmiałyby dla mnie najwyższym akordem. »Zgoda, — powiedziałby mój krytyk — przyznajemy, że Biblia powinna się znajdować na jednym z końców. Ale dlaczego razem z Mabinogion? Czyżbyś nigdy nie słyszał o Eurypidesie, Tacycie, Shakespeare'm i Cervantesie, o Dantem i Balzaku, o Tołstoju i Goethem...? Oczywiście, że o nich wszystkich słyszałem. Ale ja jestem Walijczykiem«."

I jako uzupełnienie cytatu — jego dalszy ciąg:

„Wiem, że ich argumentacja posiada żelazną logikę. Ale dla mnie nie ma argumentu, który by usunął Maginogion z piedestału..."

Dzięki jednemu z pisarzy przeciętny Walijczyk wie znacznie więcej o Polsce i Polakach, niż przeciętny Polak — o Walii. Pisarzem tym jest John Elwyn Jones, który przełożył na walijski wiele dzieł literatury polskiej — nowele Prusa, Sienkiewicza i Konopnickiej, „Popiół i Diament" Andrzejewskiego i inne. J. Elwyn Jones jest autorem powieści „PUM CYNNIG I GYMRO", której fabuła opiera się na jego przeżyciach z II Wojny Światowej. Tytuł książki nawiązuje do starowalijskiego powiedzenia: „TRI CHYNNIG I GYMRO", co znaczy „Walijczyk próbuje trzy razy". Natomiast J. Elwyn Jones uciekał pięciokrotnie z niemieckich obozów jenieckich. Jako żołnierz brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego (Flandria, 1940 r.), w przeciwieństwie do swoich angielskich dowódców, dobrowolnie nigdy nie złożył broni. W niewoli przebywał w wielu obozach, a między innymi w Łambinowicach. (O ile dobrze pamiętam, tygodnik „ITD" publikował w swoim czasie wspomnienia jeńców, którzy przeżyli Lamsdorf.)

Jones ucieka jeden raz, potem drugi, trzeci, i czwarty. Każda ucieczka oznacza kolejne przeniesienie do innego obozu i kolejne coraz to surowsze kary. Za piątym razem zna już tak dobrze język polski i niemiecki, że udaje mu się zbiec do Szwecji, a stamtąd do Walii.

Książka zawiera wątek miłosny o tragicznym zakończeniu, obfituje w momenty dramatyczne, a także w specyficzny humor wojenny. Jones szkicuje również swoje kontakty z polskim ruchem oporu, nie stroni od refleksji natury historycznej i politycznej. Walijski wydawca zadbał o szatę graficzną — na czerwonej okładce książki rozpościera skrzydła biały orzeł. (Na wszelki wypadek jedno z wydań ma orła z koroną, a inne — bez...). Autor dedykuje książkę „Polskim Przyjaciołom", a mottem powieści są słowa: „Niech żyje Polska!"

Szkoda, że Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej w Warszawie nie może się zdecydować na edycję przekładu polskiego. Czyżby w dalszym ciągu poszukiwało drugiego recenzenta!?...

Przy okazji poruszania spraw polsko-walijskich podamy ciekawostkę. Walijski, jako język celtycki, wykazuje oczywiście pokrewieństwo z innymi językami indoeuropejskimi, a w tym, rzecz jasna, z polskim.

Z epoki wspólnego dziedzictwa praindoeuropejskiego (około 2000 p.n.e.) w obu językach przetrwało wiele słów, których porównanie z właściwymi odpowiednikami wykaże nam zachowanie identycznego znaczenia oraz niemal identycznego brzmienia: „BRAWD znaczy „brat", NEWYDD — „nowy", NOS — „noc", DWY — „dwa", TRI — „trzy", — BYW — „bywać", MARW — „martwy", DERWEN — „dębowy", a pierwotne znaczenie — „drewniany", itp. Wypada przy okazji zaznaczyć, że prawie każdy wyraz walijski podlega tzw. mutacjom, tzn. początkowa spółgłoska wyrazu może zmieniać swą wartość fonetyczną zależnie od kontekstu. Wyraz MARW może się zatem pojawić w zdaniu (w tekście, w wypowiedzi ustnej) jako... FARW. Dodatkową komplikacją jest to, że dane słowo może mieć więcej niż dwie mutacje... TAD — „ojciec" — ma ich trzy: TAD — DAD — NHAD... Często początkowa spółgłoska w ogóle ginie i w pisowni i w wymowie... Walijskie słowa są prawdziwymi kameleonami, a posługiwanie się słownikiem walijskim bez znajomości zasad mutacji może kogoś wprawić w rozpacz...

Spośród najwybitniejszych przywódców ruchu narodowościowego wyróżnić trzeba Saundersa Lewisa. Urodzony w r. 1893 pisarz, dramaturg, jest twórcą PLAID CYMRU („Partia Walii") a także inspiratorem założenia i współtwórcą Walijskiej Akademii Umiejętności (CYMDEITHAS YR IAITH CYMRTEG). Właśnie Lewis był duszą i sercem tych wszystkich Walijczyków, dzięki uporowi których nastąpiło odrodzenie języka i kultury narodowej, przyznanie określonych praw — walijski w szkole, w radio, w telewizji, w prasie, chociaż jeszcze nie zawsze w państwowych instytucjach...

Lewis jest autorem elegii „Śmierć Sir Johna Edwarda Lloyda", napisanej po zgonie tego wybitnego historyka walijskiego. Szczególnie ostatnie strofy niosą z sobą ogromny ładunek emocjonalny. Autor wyraża w nich słusznie udramatyzowaną wątpliwość, czy Walijczycy zdołają zachować to, co najważniejsze — ich język. Bez języka — bez serca, a zatem walijskie „to be or not to be..." Najazdy Anglów, Sasów, Duńczyków, Normanów, ludów germańskich, które ogniem i mieczem rozszerzały swoją przestrzeń życiową na Zachodzie kosztem istnienia plemion celtyckich, pozostawiły głębokie piętno w walijskiej literaturze...

Rok 615. Po bitwie pod Chester — Etelfrid Król Northumbrii rozkazuje żołnierzom zgładzić tysiąc dwustu bezbronnych mnichów z klasztoru w Bangor...

Oto narodowy bohater Walii, Llywarch, Hen, traci dwudziestu trzech synów. Polegli na polu chwały...

Oto inny bohater narodowy Walii, Owain Lawgoch, ginie skrytobójczo zamordowany...

Glyndwr Owain, przywódca powstania przeciwko Anglikom (r. 1410), po bitwie pod Shrewsbury wzięty do niewoli, a następnie zgładzony wraz ze wszystkimi pozostałymi przy życiu rycerzami walijskimi...

Echo tych dramatów przebija z utworu Lewisa. Dodajmy, że Cunedda to postać historyczna, ale porównywalna z polskim Lechem. Cunedda jest praojcem narodu walijskiego, założycielem królewskiej dynastii Gwynedd.

I jeszcze cytat z książki wydanej w Walii, a dotyczący jej autora:

„Heini Gruffudd ukończył University College of Wales, gdzie miał szczęście dostąpić tych samych zaszczytów, co Jego Królewska Mość Charles, Książę Walii. Ale to nie wszystko. Gruffudd zdołał zachować swą znajomość języka walijskiego (w przeciwieństwie do naszego ukochanego Księcia). To podwójne wyróżnienie nie umożliwiło mu jednak większej kariery jak tylko posadę nauczyciela..."

Jerzy Wieluński

Saunders Lewis

ŚMIERĆ SIR JOHNA EDWARDA LLOYDA

Czytałem o Eneaszu, który kiedyś szedł
z Sybillą przez jaskinię do krainy Dis
do kraju cieni, jak człowiek wędrujący
nocą, borem, przy księżycu nieustalym
gdzie chłodny mrok
za rzekę i Pole Chwały Załobne
i zobaczył Troi sędziwych bohaterów, przodków Rzymu
Deiphobusa i łany jego, mężnych tej ziemi
synów Antenora, i bladego Adrastusa
Jak go prowadzili, z powagą podtrzymując
aż przyszli na rozstaje dróg, gdzie były wrota
a jego twarz obmywano, gałąź mu złotą wręczono
i łąka się rozpostarła z krzewami
przepięknymi pod gwiazdami i fioletem czystego przestworu
gdzie na świeżej murawie spoczęli
Dardanus, Ilus, i zmarły szczęśliwy

Ja, onego wieczoru, prowadzony przez starca z Bangor, czarodzieja
poszedłem nad rzekę, do łodzi wejść się odważyłem
zostawiając teraźniejszości wybrzeże, gdzie nie ma kotwicy
i wodę przemierzyłem niby jezioro w czeluściach nocy
do zmiechrzu jaskini
gdzie pomiędzy drzewami zjawy odrażające wzrok wypatrywały
wydając niewyraźny okrzyk śmiertelny dawno zmarłych łowców
Nie słyszałem. Tylko malowidło na ścianach jaskini
Wtedy nastała jasność i postać niby brzask świtający
błyszczący hełm i puklerz, orła spiż
ścinanie drzew, kucyki i powódź w Menai
brukowane wzgórza i linia fortów wyprostowana
TU... REGERE POPULOS
Widziałem posąg Agricoli stojący
na piaszczystym brzegu w Anglesey mówił półgłosem proroctwa Wergiliusza
a łza na rąbku togi, w rozpylonym mroku

Podążając za nim ujrzałem człowieka, schodził
z leśnej ścieżki skraj lasu wykarczować
zasiać pszenicę, biesiadników nakarmić i przygarnąć
Była tajemniczość w jego zachowaniu się. Uczynił
niespiesznie znak krzyża

słowa przypomnienia wyrzekł nad chlebem
powoli uniósł puchar w stronę brzasku
uklęknął i bił się w pierś, pojednany w zgonie
Myślałem zadziwiony „Wiem, że póki Europa trwa
będą one przypominane, wszystkie nie umrą
twórcy mocarstw Krzyża i Orła
ich marzenie wspólnym związane wysiłkiem
jednego narodu nad jednym kamieniem
Anglesey i Cyrenaica, dało podstawę do nadziei
Dantemu i Grotiusowi, tarczą stało przed grabieżami
Fryderyka Drugiego i żałosnego Filipa Hiszpanii
Ale tutaj w krainie cieni jest plemię
skazane na męki Syzyfa w tym świecie

ma dźwigać z wieku w wiek, przez ponad tysiąclecie
szlachetny naród ku wierzchołkowi Wolności, a kiedy —
O, Cuneddy rodzie uparty —
już widać wierzchołek, zdrada albo przemoc
skałę spychają w dolinę, daremny trud
a Ptaki Otchłani szydzą z męki konania"

„Gdzież oni są?" Spójrz, komnata przeznaczenia
łoże pośrodku, biskup, archidiakon
mnisi o tonsurach postrzyżonych, przeorzy z Chester i ze Shrewsbury
namaszczają oślepłe oczy srogiemu wodzowi
natomiast przed nim wynurza się z głębin wieków
fiord w Norwegii, okręty Gothrego na wyprawie,
Grota Arduidwy, kazamaty Hugona Otyłego, Pole Bitewne Bron-yr-Erw
wszystkie sądy nad dziejami życia, a życia ból przebija poprzez maski

I widziałem szubienicę na trawniku, a odważne ręce
dosięgnąć ją chciały spomiędzy żelaznych krat
dopóki z Aber okręt nie przybył z niemymi wioślarzami
Nad wodą pochodnie, a popiół we włosach króla
i krzyż na katafalku między dłońmi...
A na pikę nadziana głowa, i końskie ogony
wloką za uprzężą w pyle Shrewsbury
stratowane zwłoki ostatniego najsłabszego w szyku

Potem niby snop ognia z latarni morskiej
ponad nocy potopem rozbłysnęły otwory w forcie
który stoi na skale w Harlech. Następca obu dynastii
Walii ukoronowany. Taniec dla spadkobiercy
Potem w pobliżu Valle Crucis
drugi Tyrezjasz, w Berwyn, o brzasku
ogłosił orzeczenie wyroczni losu. Skończone
Jego cień wtopił się we mgłę, a ta go nakryła

Jak ten, który się wspinał po urwiskach krainy rozpaczy
i ja zapytałem przewodnika: „Czy umysł twój
pokona grań czasu, czy nadzieję dostrzeże?
Zachowają własny język. Czyż w nadziei pocieszenie?
Czy Cuneddy relikt ostatni
poprzez boleść udręki wszystkich jego synów uratowanym zostanie?"
Lecz latarnika zaginionych stuleci
już tam nie było, ani pochodni jego, ani słów

Z walijskiego przełożył **Jerzy Wieluński**

OKOLICE SZTUKI

JEDEN OBRAZ W MUZEUM

W MAGAZYNACH lubelskiego Muzeum Okręgowego kryje się niewielki obraz, przedstawiający konwencjonalny temat wielu pokoleń malarzy: martwą naturę z zielonymi owocami, okrągłą popielniczką o żółtawych obrzeżach i kwiatem w doniczce, który rzuca duży cień na tło, choć właśnie stamtąd, zza tych wszystkich przedmiotów uszeregowanych na stole, pada rozproszone światło. Honorując realny wygląd tych drobiazgów, w tym jednym miejsce autor złamał naturalną logikę obrazu, jakby zniecierpliwiony akademickim procederem, który poprawnie rozwijał na pierwszym planie płótna. Dzisiaj takie zabiegi nie ciekawią, wspomnijmy więc, że malowidło powstało w 1924 roku.

W latach, które minęły od zakończenia II wojny światowej, bodaj tylko dwukrotnie kompozycja ta znalazła się na wystawach plastyki lubelskiej. Ot, taki sobie przerywnik ekspozycyjny, lekko już sponiewierany przez czas, w dolnym lewym rogu spękany aż do gruntu.

Kilkoro, może nieco więcej osób w Lublinie wie, kto jest twórcą ciemnego obrazu — nie zdając sobie chyba sprawy, jak barwna i intrygująca była to postać. Co prawda mecenas Kazimierz Askanas poświęcił malarzowi wiele ciepłych zdań w swej książce „Sztuka Płocka", lecz nad Bystrzycą przeczytał je na pewno tylko adwokat Wojciech Jarosławski, spokrewniony z zapomnianym artystą, który nazywał się Adam Nowiński.

Przypomnijmy więc, że Nowiński urodził się w Lublinie 19 grudnia 1887 roku w rodzinie zamożnego zegarmistrza, wykształconego zresztą w Szwajcarii, który dorobił się dwóch kamienic na Starym Mieście: Olejna 5 oraz Rynek 4. Do gimnazjum rządowego także uczęszczał w rodzinnym mieście, lecz wydalony ze szkoły za udział w strajku szkolnym (1904/1905), maturę uzyskał gdzieś w Rosji — może w Kijowie. Później, prawdopodobnie przed pierwszą wojną, ukończył warszawskie Kursy Handlowe im. Zielińskiego, z których wywodzi się obecna SGPiS. W roku akademickim 1916/1917 studiował w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Jak do tego doszło i dlaczego zrezygnował z uczelni — trudno ustalić. Listy, które skierowałem w tej sprawie do dwóch wybitnych malarzy starszego pokolenia, bez wątpienia znających Nowińskiego, pozostały bez odpowiedzi. Szkoda, bo w tamtych właśnie latach zaczął się chyba osobisty dramat Nowińskiego: z wykształcenia handlowca, z marzeń i ambicji — malarza, z życiowej konieczności — nauczyciela, a właściwie dyrektora różnych szkół zawodowych.

Od 1917 roku poczynając, pracował kolejno w Janowie Lubelskim, Biłgoraju, kieleckich Szczekocinach, w Płocku i Wilnie — nieodmiennie na stanowisku dyrektora gimnazjów czy zbliżonych poziomem placówek o profilu handlowym. Belferka nużyła go, czasami wręcz irytowała — bo przeszkadzała mu w malowaniu, które uprawiał od wczesnej młodości, niemalże od początku sympatyzując z awangardą. Niestety, niemalże cały dorobek twórczy Nowińskiego zniszczyła lub rozproszyła wojna, co bez regionalnych sentymentów należy uznać za poważną stratę naszej kultury artystycznej. Sądząc bowiem po zachowanych fotografiach, zgeometryzowane, z intelektualnym dystansem budowane kompozycje lublinianina, powstałe na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych, bez trudności dałyby się dopisać do ciekawszych rozdziałów polskiej sztuki nowoczesnej. Coś pewniejszego na ten temat będzie przecież można powiedzieć dopiero wówczas, kiedy uda się odnaleźć przynajmniej kilka obrazów artysty. W tych poszukiwaniach liczę na pomoc czytelników „Kameny".

Nowiński pozostawał w bliskich kontaktach z wieloma wybitnymi malarzami międzywojnia. W całym naszym piśmiennictwie z zakresu historii sztuki II Rzeczypospolitej nie znalazłem wzmianki o tej sprawie, ale zdaje się nie ulegać wątpliwości, że to właśnie on sprowadził do Szczekocin i zatrudnił w tamtejszej szkole Władysława Strzemińskiego, animatora ówczesnej awangardy, przygotowującego właśnie swoją głośną później teorię unizmu. Z listów kierowanych przez Nowińskiego do Wiktora Ziółkowskiego wynika nawet, że dyrektor szkoły i członek grupy „Blok" zastanawiali się nad wydawaniem własnego pisma artystycznego. Z takimi przynajmniej intencjami nosił się Nowiński w 1924 roku.

Ostatnie lata życia Nowińskiego wiążą się z Wilnem i Kazimierzem nad Wisłą, gdzie malarz dom własny wystawił według projektu Karola Sicińskiego i okresowo pełnił funkcję burmistrza miasteczka. Mieszkał w nim z żoną, Felicją z Klamborowskich, kobietą znającą bodaj pięć języków i wywodzącą się w prostej linii od adiutanta księcia Józefa Poniatowskiego.

Podczas okupacji prowadził w Kazimierzu tajne nauczanie. Aresztowany przez hitlerowców 8 lipca 1941 r. i przewieziony do Oświęcimia, zmarł tam na tyfus — jak głosi urzędowa wersja — — już kilka miesięcy później, 6 listopada tegoż roku. Mecenas Jarosławski jest jednak zdania, że Nowiński, człowiek hardy i posiadający wysokie poczucie godności własnej, został w obozie zamordowany. W tragicznych okolicznościach zginęła też żona artysty, która wiosną 1942 roku wybrała się z Lublina do Kazimierza, by dom na Dołach obejrzeć, uporządkować ogródek...

Większą opieką należałoby chyba otoczyć jedyny znany w Lublinie obraz Adama Nowińskiego.

IJK

„Co się u was dzieje?"

List z Gdańska

Andrzej Twerdochlib

W POŁOWIE marca sporą grupę twórców i działaczy kultury podejmował na Oksywiu członek WRON-u, dowódca Marynarki Wojennej, admirał Ludwik Janczyszyn. Spotkanie trwało siedem godzin, ale nie zauważyłem, żeby ktoś wyszedł przed końcem. I to nie ze względu na zaiste wysoki stopień wojskowy gospodarza, ani na uzbrojone warty (nie było ich zresztą), ani na to, że piętro niżej było kasyno z wyszynkiem.

Było to spotkanie... Długo myślałem nad doborem przymiotnika, ale nic odpowiedniego do głowy mi nie przyszło. Pod koniec padło z sali pytanie: „Dlaczego towarzysz admirał nie powie tego wszystkiego w telewizji"? Odpowiedź: „Nie jestem od propagandy".

Wysłuchaliśmy wykładu (prelekcji, informacji, wypowiedzi? — tu z kolei mam kłopot z rzeczownikiem) na temat polityki przez duże „P". Admirał nie czytał, nie posługiwał się nawet notatkami. Po prostu mówił; było to przejrzyste i doskonale skonstruowane.

Zacząłem od końca. A jedno z pierwszych pytań—zarzutów w jakimś sensie, brzmiało: „Czy WRON nie za bardzo zajmuje się polityką i nie odsuwa na dalszy plan spraw gospodarczych?" Spróbuję w skondensowanej formie przedstawić pogląd admirała (a chyba i WRON-u) na to zagadnienie.

Wojsko nie zamierza nikogo zastępować czy wyręczać. Ani partii, ani administracji, ani gospodarki. Ograniczy się do analizy i określenia stanu faktycznego, zasugeruje — czasem nakaże — rozwiązania i zadba o to, aby te sugestie, czy nakazy zostały zrealizowane. Marazm i skostnienie struktur sprzed sierpnia 80, potem narastający lawinowo chaos doprowadziły do tego, że pod koniec ubiegłego roku organizm państwowy znajdował się w ciężkiej zapaści. Zdolną do działania jego częścią pozostały siły zbrojne. Działając według własnych, wypróbowanych metod nie dopuściły do siebie żadnych elementów rozkładu.

Była mowa o organizacji pracy i polityce kadrowej. Admirał ilustrował to przykładami.

Marynarka Wojenna jest organizmem bardziej skomplikowanym niż Państwowa Komunikacja Samochodowa, powiedzmy. Nie może być samowystarczalna, musi kooperować z wykonawcami i dostawcami. Przykład: Marynarka otrzymuje 30 proc. zamawianych części, zamiennych, a techniczna gotowość sprzętu wynosi mimo to 100 proc. plus n. Ale kiedy komisarze zaczęli zaglądać do baz PKS, stwierdzili, że akumulator (ta przysłowiowa już oś w gardle naszej komunikacji i nie tylko) żyje w PKS trzy razy krócej niż w wojsku.

W gospodarce, rolnictwie, administracji ogromnie rozmydliła się kwestia osobistej odpowiedzialności za efekt pracy. W wojsku kadra jest stale weryfikowana i oceniana, awans nie jest automatyczny, o karuzeli funkcji nie ma mowy.

Mam nadzieję, że nie zdradzę tu żadnej tajemnicy wojskowej, jeżeli powiem, że Marynarka ma kilku oficerów około czterdziestki (proszę zwrócić uwagę na wiek), którzy ukończyli po dwie wyższe uczelnie wojenno-morskie i dodatkowo specjalne studia strategiczne. W cywilnym życiu bywają teraz kłopoty z obsadzaniem funkcji wiceministrów, wojewodów, nie mówiąc o dyrektorach. W wojsku na każde stanowisko jest jedna lub kilka osób w zapasie. Wiedzą o tym i pełniący aktualnie funkcję, i ci drudzy. Nie wiem, czy to im poprawia samopoczucie, ale na pewno sprzyja solidnej robocie.

Pokutuje mit, że, aby zaprowadzić porządek, wyprowadzono z koszar prawie całe stany osobowe. Tymczasem (cytuję): „Piątego stycznia miałem w morzu x okrętów, dzisiaj mam x plus y". Gospodarz spotkania podał nam te cyfry i powiedział „W normie".

„Solidarność" wyobrażała sobie, że wojsko przejdzie na jej stronę i to na dodatek z bronią. Była to godna politowania naiwność. Admirał zauważył, jak gdyby mimochodem, że kapral Wałęsa i plutonowy Bujak jeszcze długo będą musieli się uczyć planowania operacyjnego.

Rozgadałem się o tym spotkaniu, dotykając zresztą jedynie ułamka poruszanych spraw, ale chciałem, żeby w dalekim Lublinie choćby lekko powiał wiatr od morza. Teraz trochę o czym innym.

Gdańsk jest miastem, które ma wiele świeżych i bardzo świeżych miejsc pamięci. Topograficznie i psychologicznie. Bo i pomnik stoczniowców i świadomość, że właśnie tutaj zaczęły się Grudzień 70 i Sierpień 80. Hala „Olivii" i siedziba Krajowej Komisji „Solidarności". Naprawdę dużo tego. Tym trudniej odpowiedzieć na zadane mi przez „Kamenę" pytanie. „Co się u was dzieje?".

Jesień ubiegłego roku nie jest na tyle odległa, żeby było trzeba przypominać ją ze szczegółami. Sytuacja w gdańskim oddziale ZLP i w organizacji partyjnej przy tym oddziale była chyba taka, jak wszędzie indziej. Dezorientacja i dezintegracja, wszystkie odcienie lęku od niepokoju po panikę, histeria i zuchowatość, melancholia i euforia — wszystko to w pionie, w poziomie, na ukos i w zygzaki. Kiedy po kilku miesiącach spogląda się wstecz, ciarki po plecach jeszcze chodzą.

Od sierpnia do grudnia POP straciła połowę stanu. Ci, którzy zostawali, żegnali tych, którzy odchodzili bez żalu lub z żalem. Bez perswazji, bez namawiania, bez odwodzenia od zamiaru, zawsze jednak uściskiem ręki. Przyjęliśmy po prostu taki, a nie inny sposób postępowania.

Hasło wyprowadzania partii z zakładów pracy pomogło nam raczej niż zaszkodziło. To był trzeci dzwonek. W naszej profesji, potrzebna jest wyobraźnia, ale gdyby jej nawet zupełnie zabrakło, można było przewidzieć, jak się potoczą wypadki. Tak czy owak, organizacja utrzymała się, w przeciwieństwie do paru innych.

Po 13 grudnia zebraliśmy się tak szybko, jak tylko to było możliwe. Edmund Kosiarz, znakomity historyk morskiej wojskowości, rzekł: „Stało się. Skoro mamy stan wojenny, uważam się od tej chwili za korespondenta wojennego. A wy?"

Kosiarz ma z nas najwyższy stopień wojskowy. Jest komandorem porucznikiem w stanie spoczynku. Sprzeciwów nie było.

Wychodziła jeszcze wtedy „Trójgazeta", w miejsce naszych codziennych pism: „Głosu Wybrzeża", „Dziennika Bałtyckiego" i „Wieczoru". Poszliśmy. Naczelny i komisarz na naszą propozycję powiedzieli zwyczajnie: „Dawajcie teksty". Zaczęliśmy drukować już w styczniu, współpraca trwa do dzisiaj.

Po zajściach ulicznych z 30 stycznia, kiedy to wśród 205 zatrzymanych znalazło się 56 uczniów i 40 studentów, Kosiarz pisał w publicystycznym artykule „Czas opamiętania".

...wszyscy jako naród znajdowaliśmy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, na szczęście w porę, niemal w ostatniej chwili, zażegnanym przez Wojskową Radę Ocalenia Narodowego.

Osobiście jestem głęboko przekonany, że nie było innego wyjścia, bo emocje i bałamutne hasła, zacietrzewienie podsycane przez jawnych i skrytych wrogów różnej przynależności i barw, zaczęły się wdzierać już nie tylko do instytucji i przedsiębiorstw, ale także do szkół, nawet do naszych domostw i mieszkań, rozdzielać bliskich sobie ludzi, ojców od dzieci, wśród przyjaciół zamiast szczerości stwarzać nieufność, a jakże często i nienawiść.

I dalej:

Ci młodzi ludzie mają rodziców, którzy teraz chyba równie boleśnie przeżywają dramat swych synów i córek. Mają wychowawców w szkołach i uczelniach. Mają swoich kolegów, a z pewnością i przyjaciół wśród dorosłego pokolenia, ludzi o różnych przekonaniach, ale wierzę, że rozsądnych. Czy na równi ze mną nie poczuwacie się do odpowiedzialności za czyny tych młodych ludzi?

Sam ciągnę w „Głosie Wybrzeża" cotygodniowy felieton. Napisałem nie dawno:

„Solidarność" zmarnowała olbrzymią szansę, w sposób nieprawdopodobnie prymitywny. Władzy trzeba patrzyć na ręce i czasem dać klapsa. To właśnie było szansą „Solidarności". Ale mniej patrzono za co, gdzie i jakiego klapsa wymierzyć, więcej myślano, żeby tylko walić. Walić obuchem, na oślep i na odlew.

Nie twierdzę, że wśród czytelników znaleźli się sami tylko entuzjaści tego typu publicystyki. Listy płyną szeroką rzeką, grozi powódź. Jesteśmy *kolaborantami, pachołkami reżimu, ruble nam dźwięczą w kieszeniach*, a *szubienice dla nas ze stadium projektowania weszły w stan realizacji*. Ale statystycznie co trzeci list jest przynajmniej rzeczowy. Podejmuje dyskusję i zawiera chociażby próbę argumentacji. To (bez ironii) podnosi na duchu.

Cóż by tu jeszcze? Nadal nie ukazują się tygodniki: „Czas" i „Głos Stoczniowca". Nie jest określona przyszłość kwartalnika „Punkt". Mówiąc nawiasem: gdańscy pisarze przez dwa lata wojowali, żeby „Punkt" powstał, wydreptaliśmy to, ukazywał się przez trzy lata. Szkoda by było...

Odczuwalnie poprawiło się zaopatrzenie, komunikacja działa sprawnie, nie było wyłączeń prądu, kaloryfery nie stygły, słowem przeżyliśmy zimę. Obserwujemy ożywioną rotację na stanowiskach kierowniczych przeróżnych szczebli. Wojsko — o czym było na początku tego tekstu — zdaje się nie próżnować...

W ogrodzie zoologicznym nie widzieć słonia...

Zygmunt Mikulski

UTARŁO się mniemać, że oczyszczenie języka polega wyłącznie na pozbawieniu go obscenów. Że wystarczy wytrącić z użytku kompleciik cztero- i pięcioliterowych wyrazów, żeby nurt mowy odzyskał kryniczną klarowność. Tymczasem konieczne nie zawsze jest wystarczające, w dodatku tzw. rzucanie mięsem kompromituje się samo, więc kierowanie przeciw niemu publicystycznego oburzenia wygląda na udowadnianie twierdzenia nie podanego w wątpliwość, natomiast istnieje cały szereg terminów i zwrotów świadczących o niskiej kulturze posługiwania się językiem, a przyjętych za poprawne, nawet kunsztowne. Jak to się dzieje, że raz wprowadzone do użytku przez inwencję à la pan Jourdain kursują sobie w najlepsze, nigdy nie wywołując weryfikacji?

Jednym z używanych nagminnie jest „formuła" w znaczeniu „koncepcji", „ustanowienia". „Dopracowaliśmy się własnej formuły teatru", formułą tego przedsięwzięcia jest wyjście ku środowiskom młodzieżowym" — takie zwroty słyszy się często i nikt nie prostuje, że formuła to zdanie, adekwatny w stosunku do pewnej rzeczywistości zestaw słów, ostateczna redakcja, zapis, a nie wykładnik pomysłu. Rzecz jednak w tym, że „pomysł" brzmi mniej nobliwie, niż ten pretendujący do „metafory" do „przerzutni intelektualnej" lapsus. Działa coś takiego: trzeba przyjęcie tego terminu nastawić na subtelność, bo tego oczekuje nadawca, który przecież mógł posłużyć się zwykłą „koncepcją", czy „pomysłem", ale wolał sformułowanie ulokować piętro wyżej; inteligentny, nie bądźmy gorsi.

To samo z „autentycznością". „Ten ma swoją autentyczność", a „tamten o nią zabiega" — i wszystko. Tymczasem może być autentyczny, lub nie jako dobry organizator wycieczek, jako atrakcyjna osoba w towarzystwie, jako atut drużyny hokejowej, jako kolporter anegdot. Jako, jako. Bo autentyczny tout court jest każdy z nas z racji tautologicznej. Jako partacz, nudziarz, brylująca osobistość, beznadziejne bezindywiduum.

„Alternatywą wzrostu zatrudnienia jest racjonalne wykorzystanie posiadanych mocy produkcyjnych", „to rozwiązanie nie jest korzystne, poszukajmy jego alternatywy". Raptem wszyscy zapomnieli, że alternatywa to nie możliwość opozycyjna w stosunku do jakiejś innej, ale sytuacja, w której istnieje możność wyboru między dwiema ewentualnościami (łacińskie „alter" — jeden z dwóch). Tę deformację musiał ktoś wprowadzić po raz pierwszy, dlaczego przyjęła się bardziej, niż właściwe rozumienie terminu? Żeby stało się zadość językowej inwencji? Takim samym owczym pędem tłucze się „tylko i wyłącznie". Co znaczy „tylko", jeśli nie „wyłącznie" i vice versa? Co zostaje do dopowiedzenia po użyciu jednego z tych wyrazów? Pozostaje „wzmocnić" go synonimem, jak „czynnego" wzmacnia się „aktywnym", „prędkiego" — „szybkim", a „pionowego" — „wertykalnym".

Ale chyba większą karierę zrobiło słówko „stosunkowo". Mówi się „stosunkowo duża" nie tylko tam, gdzie jest oczywiste, że jakaś wielkość może być uznana za taką jedynie w porównaniu z innymi, ale drogą snobistycznego przystrajania języka dochodzi do takich kuriozów, jak „stosunkowo największa", „stosunkowo najstarszy", co jest przesunięciem z upodobaniem praktykowanego stereotypu zdecydowanie poza obszar dorzeczności.

A ukochane „po prostu". Z jakim uporem wpychane jest w każdą wypowiedź! Mówiącemu zależy, żeby 1-o: nadać swej wypowiedzi charakter wywodu logicznie tak zwartego, by ewentualna niezupełność aprobaty mogła wyniknąć tylko z pozycji nie „prostych", więc wątpliwych, 2-o: wywołać wrażenie, że ma na uwadze również zjawiska bardziej skomplikowane, ale cóż poradzi na to, że tym razem przyszło mówić o rudymentach. Tak preferowane „po prostu" wchodzi sobie w każde miejsce każdego zdania bez względu na jego sens, jak przystojnemu i eleganckiemu komuś wybacza się pewną swobodę towarzyską. Kiedyś w telewizji usłyszałem wyznanie pewnego artysty: „Moja historia zaczęła się bardzo romantycznie. Po prostu, kiedy..." itd. Romantycznie, czyli po prostu.

A kiedy tzw. ciekawy człowiek otrzyma pytanie np. co spowodowało zwrot jego zainteresowań w danym kierunku, rzadko padnie odpowiedź inna, niż przystosowana do konwencji języka „problematyzującego": „Chyba jakaś wrodzona moja inklinacja". Bo mowa wprost to prostactwo. Trzeba zastosować figurę („coś takiego", „widzi pan", „z pewnością"), jak w popisowej jeździe na lodzie.

I pozornie całkiem niewinne: „Ta sprawa zaczęła się od czerwca". Nikt nie prostuje, że albo zaczęła się w czerwcu, albo od czerwca trwa. Na zasadzie takiej kontaminacji dojdzie chyba do tego, że z dwóch zdań „potknął się o słup" i „ugodził w słup" przyjmie się bez sprzeciwu „potknął się w słup".

A „gra o dużą stawkę"? Proszę mi pokazać grę, w której stawka jest celem gry, a nie warunkiem wejścia do niej?

Parę ładnych lat temu — chwała czasom minionym — na oznaczenie kogoś, kto decyduje, posługiwano się z łaciny wyprowadzonym słówkiem „decernent". Ale ponieważ poprawnie, więc długo się nie utrzymało. Teraz jest „decydent". Tymczasem łacińskie „decido" to polskie „spadam", więc „decydent" to nie „decydujący", lecz „spadający". Owszem, od tego pochodzi polska „decyzja", ale właśnie jako coś, co spadło, zapadło, a posługiwanie się łacińską końcówką imiesłowu cofa słówko do pierwszego znaczenia, o czym nie wiedzą rzesze użytkowników zabiegających o terminologiczną „elegancję".

Ba, mamy nawet w powszechnym użyciu „sto gram". Tu też wyraziła się tendencja do „wyższego tonu": ponieważ rzeczowniki „gama" i „rama" w dopełniaczu liczby mnogiej owego „ów" nie mają, więc utarło się sądzić, że poprawne „gramów" byłoby barbaryzmem. Analogicznie do „komplimentu", który zamiast „komplementu" jest używany przez to, że po francusku jest „compliment". O, monsieur Jourdain!

Oto kilka przykładów wynaturzeń języka, które przez nagminne używanie przechodzą w kanon nie tylko w słowie potocznie, czy pośpiesznie mówionym, ale i w druku. Zadziwiające, że nikt nie kwestionuje, jakby chciano na odwrót: zakwestionować, że język jest funkcją myśli. W dodatku ktoś, kto upomina się o elementarną poprawność, uchodzi za nadwrażliwego purystę, za nieszkodliwego w najlepszym razie maniaka, jak np. Rydel, który językiem literackiego salonu przemawiał do wieśniaczek.

A już szczególnie osobliwe, że skłonność do oczyszczenia języka, choćby tylko z obscenów, ma przeciw sobie znaczny odłam współczesnej literatury. Spora grupa współczesnych prozaików (i nie tylko) uważa, że świństwo — przykłady są — jest się odważnym, antyprudeyjnym i ekspresyjnym. Ale to jest rzecz krytyki literackiej, która uparła się w ogrodzie zoologicznym nie widzieć słonia.

POCZTA LITERACKA

Nikodem. Suchedniów. Za pseudonimem przez całe życie się Pan nie ukryje, szczególnie tak prostym. W tradycji naszej literatury dotąd, poza „Miriamem" (Zenon Przesmycki), nie posługiwano się imieniem tylko. Przyjmowano pseudonim składający się z imienia i nazwiska. Zresztą moim zdaniem, za wcześnie troszczy się Pan o to, jak podpisywać swoje teksty. Te rękopisy, jakie zdołałem przesyłabizować, podpowiadają mi, że na debiut trzeba będzie jeszcze poczekać. Niech Pan prześle wiersze porządnie przepisane na maszynie, bo zdaje mi się, że warto, abym je poznał.

Roman S. Inowrocław. Odpowiadałem niedawno komuś w tej rubryce, że gdyby żył i tworzył w okresie Młodej Polski, jego twórczość, być może zostałaby zauważona. Podobnie można powiedzieć o Pańskich wierszach. Czy nie widziałby Pan możliwości innych? Brak Panu zwięzłości, współczesnego sposobu obrazowania, wypowiadania myśli, a i wersyfikacja, typ skojarzeń są stare, stareńkie, dawno zużyte.

WIK. Lublin. Odnosi się do Pańskiego pisania wszystko, co zawarte jest w odpowiedzi dla Nikodema. U niego jednak młodość tłumaczy niedostatki, a także pozwala rokować pewne nadzieje.

M. R. Poznań. Z częścią wywodów w Pańskim liście można się nawet zgodzić. Widać rozgniewała Pana odpowiedź mego poprzednika, który „zakwestionował niemal wszystko" Pyta Pan: „Dlaczego wiersze nie mają mówić i czerpać ze zdarzeń. Czy po literacku to znaczy nie po ludzku? Czy teraz ludzie nie mogą odczuwać, jak w okresie Młodej Polski... Myślę, że przy pisaniu wierszy trudno mówić o napracowaniu się lub nie. Jeżeli ma się coś do powiedzenia pojęcie trudu nie występuje, ale gdy się chce napisać, aby napisać, to zapewne tak. Przeżywanie tzw. twórczego niepokoju i płynące z niego zmagania to inna sprawa, to rzecz nieuchwytna... Uważam, że jeżeli wiersz będzie tylko grą słów, ciężkostrawną nawet dla „smakoszy" słowa, to sens istnienia takich wierszy jest żaden, a ich publikacja tym bardziej, nie znaczy to, że jestem za szmirą, łatwizną i efekciarstwem". Nie chcę, Pana nużyć (niech się Pan przyjrzy ortografii tego słowa i innych, które w liście i wierszach), może więc zobaczy Pan w druku jak mają się Pańskie strofy do zaprezentowanych poglądów estetycznych:

Rymy nieskładne
Wersy nieukładne
Po cóż powstajecie?
Nie być nie dajecie.
Symbolika trudna
Dla czytelnika nudna
Nurząca i męcząca
Od czytania odstraszająca.

Bodajże w dawnej ramotce pt. „Królowa Madagaskaru" słyszy się kilka razy zrozpaczony okrzyk rodzica: — Kaziu, nie męcz ojca! Na podstawie obecnie przesłanych wierszy nie umiem sądzić o nich inaczej niż dotychczasowy kierownik działu literackiego.

Ludwik B. Lublin. Proza rymuje się w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Stosowano to już nieraz, ale jak to się mówi: nie przyjęło się. A może to także ma być poezja? Sympatyczne te utwory, ale nie dla nas. Może, po zmianie tematyki, przyjęłyby je czasopisma dziecięce?

TJ

Paderewski - ostatni akord

Dokończenie ze str. 5

Lecz wcześniej jeszcze Paderewski dał ostatni swój publiczny koncert. Grał dla wybranej publiczności, samej towarzyskiej i finansowej śmietanki Palm Beach; inspiratorką koncertu była właścicielka „El Mirasol", a występ odbywał się dla uczczenia „Złotej Rocznicy" — pięćdziesiątej rocznicy dania przez Paderewskiego pierwszego koncertu w Stanach Zjednoczonych. Bilety kosztowały po 100 dolarów — jak na owe czasy była to suma ogromna — zaproszono tylko sto osób. Dochód z koncertu wyniósł dziesięć tysięcy dolarów i przeznaczony był z góry na pomoc dla polskiego skarbu narodowego.

Po tym koncercie Paderewski nigdy już nie zagrał przed publicznością.

9 maja 1941 r. powrócono z Florydy do hotelu „Buckingham", do Nowego Jorku. Ataki astmy nasiliły się do tego stopnia, że dr Jachimowicz zażądał zwołania konsylium. W badaniach wzięli udział: znany amerykański kardiolog prof. Lincoln, oraz dr Murphy, naczelny lekarz jednego z wielkich szpitali nowojorskich. Stwierdzili m.in. poważne niedomogi płucne.

Zdrowie Paderewskiego pogarszało się z dnia na dzień. Latem 1941 r. musiał zarzucić nawet grę w ulubionego brydża. W tym czasie zaczął się domagać od Kołłupajły wynalezienia mu gdzieś partytury drugiego „Ronda" Mozarta; grał je z przyjemnością jeszcze na kilka dni przed śmiercią.

21 czerwca 1941 r. Niemcy napadły na Związek Radziecki. Następnego dnia odbywały się w Oak Ridge w stanie New Jersey uroczystości 25-lecia wyruszenia przez Polaków z Ameryki do tworzącej się armii polskiej. Kombatanci z owych lat zaprosili Paderewskiego do udziału w obchodach jubileuszu: to wszak na jego wezwanie wyruszyli tłumnie przed ćwierćwieczem pod biało-czerwone sztandary.

Paderewski został zawieziony do Oak Ridge samochodem. Zdołał poczynić jeszcze ostatnie poprawki w przygotowanym wystąpieniu, poprawki związane z wydarzeniami na dopiero co powstałym froncie niemiecko-radzieckim. Kończył swe przemówienie słowami nadziei, że Polska wyjdzie cało z katastrofy, która ją nawiedziła: „Nie będzie ona, być może, taka jaką znaliśmy dotąd, będzie to jednak Polska wolna, wierna swej przeszłości, i ufna w przyszłość!"

Po powrocie do Nowego Jorku przyszedł kryzys. Paderewski nie podniósł się już z pościeli. Trzeba było go umieścić pod namiotem tlenowym.

Później nie dało się nic już zrobić. 29 czerwca 1941 roku Ignacy Jan Paderewski — umarł.

•

Próbuję chodzić po Morges śladami Mistrza z Riond-Bosson. Ale z jakim trudem mi to przychodzi! Nie ma już pałacyku, który przez dziesiątki lat był w Szwajcarii jedną z wysp polskości. Został sprzedany na licytacji w latach pięćdziesiątych i rozebrany. Nie ma już ogrodu, który otaczał pałacyk, po którym spacerował Ignacy Paderewski i gdzie w każdą rocznicę jego urodzin urządzono zabawy i puszczano, ku uciesze gości i okolicznych mieszkańców, barwne fajerwerki. Grunt też został sprzedany na licytacji, postawiono na tym miejscu budynki, które wcale nie są pałacami.

Dobrze przecież, że pamięć o Mistrzu trwa nad Lemanem. Z tą myślą kieruję jeszcze raz kroki w stronę szarej tafli jeziora, na dawną ulicę Du Lac, ku staremu Maison Morax, ku dźwiękowi dzwonów niosącemu się z wieży kościoła.

Mirosław Derecki

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.
Redaguje Marek Adam Jaworski z zespołem.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 13—16.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4. PL. ISSN. 0137-7108. Nr indeksu 36251. Adres redakcji: 20-029 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin I, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.
Zam. 422. R-4.

Taniec nad przepaścią

Fragmenty książki Karola Zbyszewskiego pt. „Niemcewicz od przodu i tyłu".

Nie lubiący długo przebywać na jednym miejscu książę wyruszył na objazd armii litewskiej, która liczyła prawie 5000 ludzi.

Pułki po 100 albo 50 żołnierzy stacjonowały latami w tychże miasteczkach; na rynku pośród tłumu żydziąt oraz kobiet i dzieci śledzących z zainteresowaniem, jak mąż lub tata się spisują — czynił książe z powagą przegląd dwóch króciutkich szeregów. Żołnierze nie znali postawy na baczność, stali jak dziady pod kościołem, opierając się na strzelbie z zeszłego stulecia, na szabli, lub po prostu na grubym kiju. Oficerów było zwykle więcej niż szeregowych, szlachta kupowała za paręset dukatów rangę porucznika czy pułkownika, z okazji rewii zjeżdżali się wszyscy, bo solidna pijatyka była zapewniona.

[...] Wszędzie przyjmowano ks. Adama z wielkimi czołobitnościami — nie dlatego, że był komendantem wojska litewskiego — na co gwizdano, ale że był Czartoryskim.

W Pińsku brygadier petyhorskiej brygady Chomiński osobiście gotował obiady dla dostojnego

gościa. Znał się świetnie na kuchni, dużo lepiej niż na wojsku. Niemcewicz odwiedził w Pińsku księżniczkę Ogińską, pannę 93-letnią, na której cnotę daremnie nastawał przed 70-ciu laty Piotr Wielki. Księżniczka oparła się wszelkim zakusom, wytrwała w dziewictwie, czego teraz — trochę po niewczasie — mocno żałowała.

Najdłużej zabawił książe w Słonimiu u hetmana Ogińskiego. [...] Niemcewicz łypał na dziewczęta. Każda klucha wydawała mu się cudną boginią. Pomny przyjemności zażywanych z doboszową, pragnął wznowić te ćwiczenia, ale skromny i nieśmiały nie sądził, by bez ślubu do igraszek miłosnych dojść mogło. Ciągle się w którejś kochał, ciągle chciał się żenić. Ks. Adam hamował te zapędy, tłumacząc, że dla wypicia lampki wina nie kupuje się winnicy. Lafiryndy przyjmowały hołdy, nie poczuwając się w zamian do obowiązku dostarczenia godziwych rozrywek. W rezultacie przedsiębiorczy Niemcewicz wciąż był podniecony i wciąż nieczynny.

[...] Zimą 1779 r. Niemcewicz pojechał z księciem do Białej na ślub przyrodniej siostry Karola Radziwiłła z synowcem biskupa wileńskiego Massalskiego.

Zjazd był ogromny. Księciu dano osobny pokoik, Niemcewicz spał na podłodze, na słomie wraz z innymi gośćmi. O wygody nie dbano u Radziwiłła; książę Karol spał na wąskim, twardym, żelaznym łóżku — całkiem nagi pod skórą czarnego niedźwiedzia, sam kosmaty jak niedźwiedź. Cztery tęgie, pyzate dziewuchy spełniały przy nim role szatnych, albo go ubierały — albo — jeśli czuł przypływ energii — same się rozbierały.

Młoda para nie olśniewała: Radziwiłłówna szpetna, z dobrze wydzwonioną trzydziestką, zasuszona cnotnisia; Massalski tak szczupły, mały, że prawie karzeł i tak tępy, ograniczony, że zupełny kretyn; był on dowódcą pułku z 80 hultai, który biskup specjalnie dlań utworzył. Oczywiście pruderia z idiotyzmem pobierały się nie z własnej inicjatywy, ale na żądanie biskupa i wojewody, którzy widzieli w tym mariażu nowe uświetnienie swych znakomitych rodów.

Biskup Massalski był tęgą głową. Walnie się przyczynił do pomyślnego ukończenia I-go rozbioru. [...] Obecnie Massalski był w wielkiej pasji: Radziwiłłówna otrzymywała tylko 200 000 zł posagu, co istotnie, jak na siostrę Nieświeża, było mało. Biskup żądał dwóch milionów, książę Karol powoływał się na bardzo wygodny statut rodowy zabraniający ponoć dawania Radziwiłłównom więcej i nie chciał postąpić ani grosza.

Srogie toczyły się spory. Biskup raz słodyczą, układnością, raz logiczną argumentacją, to znów powagą pasterza i autorytetem Pana Boga usiłował przełamać księcia. A książę pękaty, gruby, ze złości czerwony jak marchew, szarpał wąsa długiego do piersi, poprawiał czapę sobolową na wygolonej głowie, przestępował jak słoń z nogi na nogę i sapiąc:

— Nie, panie kochanku, nic z tego! — powtarzał.

Nie był nawet tak skąpy, ale uparty jak sycylijski kłapouch: — Cóż to, byle klecha będzie mi rozkazywał, warczał, mnie Radziwiłłowi, siedemnastemu z rzędu wojewodzie wileńskiemu!

Dyskusje trwały, odkładano wesele z dnia na dzień. Jedna Radziwiłłówna była markotna z tego

powodu, bo korciło ją rozpocząć manewry nocy poślubnej, poza tym wszyscy byli uradowani — szlachta lubiła ubogie duchowieństwo i mnichów, nie cierpiała możnych prałatów, cieszyła się więc z konfuzji biskupa, a przy tym czas uchodził przyjemniej.

Wstawano późno, koło 11-ej, wnet bieżono na śniadanie. Normalny szlachcic posuwał sobie łokieć suchej kiełbasy, półmisek zrazów z kaszą, dwa kapłony, zalewał to czterema butelkami wina węgierskiego i — dość! do obiadu nic już nie brał do ust.

Obiad zaczynał się o 12-ej w południe. Zasiadano przy długich, wąskich stołach, przybranych w tafle zwierciadlane o złoconych brzegach. Pośrodku kupy konfitur i galaret, ułożone w kolory i herby najdostojniejszych gości. Na tych słodyczach sterczały figurki porcelanowe i inne cacka.

Stale brakło naczynia; biesiadnicy wyciągali zza cholewy własne łyżki, talerze i noże — obtarłszy je wprzód w obrus — pożyczano grzecznie sąsiadowi. Wszyscy czuli się prawie na czczo, więc w milczeniu pałaszowano; na początek szła wazka barszczu z rurą, potem micha schabu z grochem, rynienka kapusty ze sztuką mięsa...

Książę Karol coraz to wołał płaczliwie:

— Panie kochanku, nic nie jecie, nie pijecie, niełaskawi...

— Zdrowie księcia pana! — odkrzykiwała szlachta, spełniając puchary i rada z przynuki.

Zaspokoiwszy nieco pierwszy głód, zwalniano tempo, urządzano atrakcje wesołe a dowcipne:

Młodzież popisywała się rozpłatywaniem indyka w powietrzu — co to było śmiechu, gdy się nie

udało i ociekający tłustym sosem padał — bęc na brzuch jednego z widzów; ktoś ucinał szablą szyjkę od butelki, ktoś brał naraz razem do gęby 3 jajka na twardo i połykał, ci rzucali zręcznie w damy kulkami z chleba — prosto za gors, najwięcej podziwu wzbudzały jednak popisy tęgich gardziołek.

Zwykły puchar zawierał dwie butelki wina, mistrzowie gardzili takim kieliszkiem i brali się do gąsiora co wyglądał na beczułkę. W pucharze takim mieściło się 5 butelek, a w jego nakrywce 3, wirtuoz opróżniał jednym haustem nakrywkę, zaraz potem dwoma łykami sam puchar i z gracją, przez serwetę, oddawał temu w czyje pił ręce. Entuzjazm powszechny.

— Przedni ma spust!

— Grecka robota!

— I trzeźwy! Tęga głowa, musimy go wybrać na posła!

Starzy biadali, że to już nie te dobre, piękne czasy saskie. Wtedy za opróżnienie duszkiem takiego pucharka król dawał zasłużoną nagrodę: starostwo, pensję dożywotnią, order Orła Białego, dziś — kto co dostanie? Czasem rozczulony magnat da pierścień, albo konia, taki drobiazg za taki wyczyn! Oj, ta młodzież obecna, jeszcze trochę, a jak chore babcie herbatę pić zacznie!

Na razie na tę katastrofę się nie zanosiło, wszyscy pili na umór, brzuchy pęczniały w oczach.

Wyższość koafjury polskiej nad francuską występowała w pełni. Ci w perukach pocili się, byli nieprzytomni, tym, co modą polską mieli wygolone łby, kurzyło się jak z komina, alkohol parował, mogli bez obawy pić trzy razy więcej; w

tak znakomitym towarzystwie wystrzegano się rzygania na środek stołu — nie należało to do najlepszego tonu.

Radziwiłł dobrze rozochocony zaczynał być rozmowny.

—J Wasza książęca mość tyleś podróżował, pewnie zza granicy wiele pięknych rzeczy przywiozłeś? — pisnęła jedna z pań.

— Takie, że doktorzy tu ledwo wyleczyli.

— A szlachty dużo za granicą? — pytał kto inny.

— Szlachty, panie kochanku, nigdzie nie ma. W Niemczech same Szwaby, w Czechach piwowary, we Francji kucharze, we Włoszech poznałem ich największego magnata — Ricci, któren na handlu rycyną fortuny się dorobił, to jak mi, panie kochanku, rękę uścisnął — przez trzy dni potem z powodu żołądka wsiąż w kuckach siedziałem.

Opowiadał Radziwiłł, że z Rousseau i Wolterem stale i obficie koresponduje.

— Ależ oni już umarli — ktoś zauważył.

— To szelmowska poczta, jak listy zaległe, bo właśnie wczoraj świeże od nich otrzymałem... [...]

Wielu ludzi uważało Radziwiłła za zupełnego idiotę, szeptano, że nawet pisać nie umie, była to niecna potwarz, nie lubił się wprawdzie podpisywać, odkładał tygodniami, ale ostatecznie czynił to zgrabnie, z niewielu błędami i czasem bez kleksa. Nie był też głupszy od innych magnatów, a że nie mieszał się do niczego, więc i mniej szkodliwy.

Po sześciogodzinnym obiedzie, krótkiej drzemce, po kolacji — następował bal. Olbrzymia sala, w

której czterokonna kareta mogłaby swobodnie lawirować, jarzyła się od świec. Damy z fryzurami wielkimi jak stogi siana i pełnymi wszy siedziały pod ścianami.Panowie w ukłonach prosili je do tańca; książę Radziwiłł, zdjąwszy pas lity złotem i srebrem, szeroki, wspaniały, ale tak ciężki i sztywny, że ruszać się w nim było niepodobne, z wielkim szkaplerzem na piersiach, w którym mówił: „Unia Litwy z Polską jest zaszyta" — sunął w pierwszą parę; za nim barwnym korowodem tłoczył się kto żyw na sali, od tańca nie stronili nawet paralitycy.

Z hałasem, tupotem wirowały pary; po każdym angiedzie, kadrylu, mazurze — danser wychylał kielich na cześć swej partnerki; Niemcewicz nie pił wcale wymawiając się brakiem zdrowia, za to w nogach przewyższał wszystkich, odtańczył solo kozaka — zyskał poklask ogólny, winszowano Czartoryskiemu, że dobrał sobie tak zdolnego adiutanta.

Rosła ochota, coraz żwawiej, siarczyście kołowano. Podłoga pełna była dziur od gwoździ w butach tancerzy. Wkrótce kawalerowie byli całkiem mokrzy od potu i cuchnęli porządnie, damy jęły zatykać nosy chusteczkami — na te subtelne sygnały panowie biegli do alkierzy zmieniać bieliznę. W czasie jednej nocy grzeczny tancerz musiał się przebierać kilkakrotnie, ale mimo tych wysiłków zapach na sali nie przypominał w niczym wody kolońskiej. Rozegrywane po kątach mecze między starszymi paniami i panami o to, kto więcej razy puknie, nie przyczyniały się również do świeżości powietrza. Prawdziwy smród panował dopiero na korytarzach. Pałac w Białej, jak wszystkie zamki

ówczesne, nie miał żadnej ubikacji. Goście najedzeni i opici czuli nieprzepartą chęć do odwrotnych czynności, a że mróz i kundle szalały na dworze, więc użytkowali schody i ciemne korytarze.

Książe Radziwiłł postanowił uraczyć towarzystwo wybornym koncertem. Wespół z hetmanem Ogińskim zasiedli z klarynetami, rozłożyli nuty; hetman grał całkiem dobrze, trzymał się wątku, nagle — bez żadnego sensu — przeraźliwie pisnął wojewoda. Zżymnął się Ogiński, ale grał dalej. Radziwiłł zaś, co nabrał tchu, nadymał policzki i myczał ze wszech sił. Burza oklasków; oficjaliści, drobni szlachcice aż tupali z zachwytu — Radziwiłł nie miał pojęcia o muzyce, nuty widział pierwszy raz w życiu, lecz był za bogaty, by nie celować we wszystkim.

Dobrze o świcie kończył się bal i układano do snu. Nazajutrz w tymże trybie zaczynano od początku.

Upłynęło 9 dni. Radziwiłłowi przyszło nagle do głowy, iż sytuacja jest niemiła dla jego siostry, nie zważając tedy na biskupa, ryczącego, że nie zezwoli na ślub synowcowi, póki kwestia posagu nie zostanie uregulowana — postanowił nieodwołalnie, iż ślub odbędzie się dziś po południu! Kretyna młodego naturalnie nikt nie pytał o zdanie.

Panna starsza wnet zasiadła przed gotowalnią ze złota i srebra. Wszyscy kawalerowie mieli prawo asystować przy tej ostatniej dziewiczej tuatecie.

(cdn)

Barbara Radziwiłłówna

Zbigniew Kuchowicz

·Fragmenty·

[...] Z kolei kilka danych biograficznych. Dzieciństwo i wczesną młodość spędziła Barbara przy boku rodziców, przeważnie w Wilnie. 20 października 1536 roku ojciec jej zawarł w Raduni układ z rodziną Gasztołdów, mocą którego miała poślubić wojewodę nowogrodzkiego Stanisława Gasztołda, od 30 czerwca 1542 roku awansowanego na wysoką godność wojewody trockiego. 17 maja 1537 roku odbył się w rezydencji Gasztołdów — Geranojnach ślub Barbary z liczącym około 29 lat wojewodą. Mąż zapisał jej dożywotnio majętności, dokonał tak zwanej oprawy, mającej wysoką na owe czasy wartość 800 kop. groszy litewskich. Od tego czasu Barbara nosiła też tytuł wojewodziny, którego używała aż do formalnego ogłoszenia małżeństwa z królem. W tym samym 1537 roku zmarł jej teść, kanclerz Olbracht Gasztołd. W 1540 roku osierocił ją ojciec, kasztelan wileński, Jerzy Radziwiłł. Trzeci pogrzeb w rodzinie miała w 1542 roku. 18 grudnia po krótkiej chorobie zmarł niespodziewanie jej mąż, jako ostatni potomek słynnego i możnego rodu Gasztołdów.

Fakt ten miał dla niej konsekwencje także materialne. Nieprzychylni Radziwiłłom wielmoże litewscy, wojewoda wileński Hlebowicz i podskarbi Hornostaj, natychmiast zastosowali wobec młodej wdowy przepisy litewskiego prawa orzekające, że po wymarciu rodu spada po nim całe mienie na skarb wielkoksiążęcy. Barbarą i jej sprawami opiekował się w tym czasie Mikołaj Rudy, który w krytycznej sytuacji zwrócił się o pomoc dla siostry do królowej Bony. Do Krakowa ze specjalnym listem wysłała też Barbara swego sługę, niejakiego Seżyńskiego. Bona odniosła się przychylnie do petycji i 1 kwietnia 1543 roku odpisała Mikołajowi Rudemu z zapewnieniem, że w sprawie pani Barbary Gasztołdowej wydane już zostały królewskie mandaty do wojewody i podskarbiego z poleceniem, by jej żadna nie działa się krzywda. [...] Nie przeczuwała królowa, że okazuje przychylność przyszłej synowej, kobiecie mającej odegrać tak przemożną rolę w dziejach Jagiellonów. Jakby na ironię losu życzyła powodzenia niewieście, którą wkrótce znienawidziła i uważała za nieszczęście swego życia. Zniekształcone informacje na temat poparcia Bony dla Barbary znalazły odbicie w pewnych wersjach literackich, gdzie mówiło się, że sama matka podsunęła Zygmuntowi Barbarę za kochankę. Są to opinie całkowicie niezgodne z prawdą.

[...] Dzieje obyczajów świadczą, że zawsze i wszędzie przygniatająca większość mężczyzn faworyzowała kobiety wyróżniające się urodą i potrafiące dostarczyć im satysfakcji seksualnej. [...] Do grona wyjątkowo pięknych i atrakcyjnych kobiet, nie tylko w skali polskiej, lecz europejskiej, należy

zaliczyć właśnie Barbarę Radziwiłłównę. Jeśli przeszła do historii, i jeśli tyle o niej napisano, tyle razy przedstawiano w malarstwie historycznym, to w pierwszym rzędzie zdecydowały o tym walory jej ciała. Nad losami hetmańskiej córy zaważyła uroda, która spowodowała, że zwrócił na nią uwagę, a następnie pokochał i wyniósł nad wszystkie kobiety swego królestwa, Zygmunt August. Powszechnie wiadomo, że właśnie wielka miłość tej pary przyniosła Barbarze nieśmiertelną sławę, można być jednak pewnym, iż nie byłoby tej miłości, nie byłoby romansu stulecia, gdyby nasza bohaterka nie posiadała tak świetnej aparycji.

Jaśniała bowiem wielką, prawdziwie królewską urodą. Jak wiemy, była słusznego wzrostu, smukła, bardzo zgrabna. Jej szczupła talia kontrastowała z szerokimi biodrami. Nie była tęgą, ale też nikt nie nazwałby jej chudą, proporcje ciała można u niej uznać za doskonałe. Zachwyty wzbudzało także, a bodaj przede wszystkim piękne oblicze. Twarz miała owalną, niezbyt wielką, o liniach policzkowych zbiegających się ku brodzie pod kątem ostrym, o nosie dość długim, charakteryzującym się niewielkim garbkiem. Nasadę nosa miała wąską, a sam nos cofnięty w głąb czoła. Twarz tę zdobiła para ciemnych, wielkich, otoczonych gęstymi rzęsami oczu, nad którymi rysowały się wąskie, lecz wyraźne, lekko łukowate brwi. Czoło jej było wysokie, nieco wypukłe, a usta niewielkie, o wyraźnie wykrojonych, dość pełnych wargach. Pod nimi kryły się dwa rzędy równych, lśniących bielą zębów. Na podstawie zachowanych portretów możemy prawie na pewno twierdzić, że

była blondynką. Barbara posiadała także jasną cerę, co uważano za wielką zaletę urody. [...] Barbara potrafiła umiejętnie podkreślać, eksponować swe wdzięki. Jej urodę uzupełniała wyszukana, wysokiej klasy elegancja. Historycy obyczajów uważają ją za wielką strojnisię swych czasów. Lubowała się w drogich sukniach, kosztownościach, ozdobach. Posiadała szaty z drogich materii — atłasu, adamaszku, złotogłowiu. Głowę stroiła weneckimi biretami lub sobolowymi czapkami. Zgodnie z wymogami ówczesnej mody ubierała się w kolory kontrastowe, łącznie z bielą i czernią. [...] Lubowała się w pierścieniach, których nosiła zawsze kilka. [...] Na szyi Barbara zawieszała kunsztownej roboty złote łańcuchy z medalionami. Ulubioną jej ozdobę stanowiły wszakże perły. [...] Zawsze piękna, strojna i wymuskana, posiadała wrodzony, trudny do opisania, wdzięk, powab, urok. Nie było w niej nic z posągu, nie odstręczała surowością, niedostępnością, które tak często zniechęcają wielu mężczyzn nawet do pięknych kobiet.

Barbara chciała, a co ważniejsze, umiała się podobać. Wykształciła sobie własny styl, który polegał między innymi na pełnym gracji chodzeniu, poruszaniu się, umiejętności rzucania wymownych spojrzeń. Posiadała łagodny, miły tembr, z czego zdawała sobie sprawę i co potrafiła wykorzystać. Otoczenie zachwycało się jej „słodyczą wejrzenia, łagodnością mowy, powolnością ruchów". Powiadano, że sam jej wygląd wzbudzał nie tylko podziw, lecz pożądanie i miłość mężczyzn. [...] Głoszono, że w nadmiarze występowały też u niej miłosne żądze, które zaspakajała w romansach z

licznymi mężczyznami. Występował u niej rzeczywiście popęd płciowy, który powodował, że sprawy miłości i tzw. sexu znalazły odbicie w jej osobowości, kierowały zainteresowaniami i upodobaniami. Wielu historyków nie dostrzegało tego rodzaju bodźców w działaniach Barbary. Ukrywanie czy przemilczanie tego faktu może wypaczać, przeinaczać prawdę o Radziwiłłównie. Sprawy te, z wielu powodów, trudniejsze są jednak do konkretnego przedstawienia.

[...] Intymne przeżycia Radziwiłłówny z czasów przed poznaniem Zygmunta Augusta nie są dokładnie znane. Więcej tam poszlak niźli konkretnych dowodów i faktów. Stąd też pole do rozmaitych hipotez i faktów wypowiadanych w naszej historiografii. Część autorów uważa, że wersje o jej swobodnym prowadzeniu się odpowiadają prawdzie, część, szczególnie dawniejszych, uważa te opinie za oszczerstwa. Jednak zarówno fakty, jak ciągle powtarzające się poszlaki, wskazują, że prowadziła bujne życie miłosne. Nie sądzę jednak, by ją za to potępiać, czy „kamienować" za niemoralność jak czyniło to wielu naszych historyków.

Wychowała się w atmosferze liberalnej, a w dzieciństwie nie wpajano jej odrazy do życia płciowego, nie narzucano poglądu, że płeć jest czymś złym, grzesznym. W związku z tym z domu rodzinnego nie wyniosła zahamowań, nie popadła w nerwicę, czy kompleksy powstające na podłożu seksualnym. Środowisko, w którym wzrosła, tolerowało względną wolność seksualną, przyzwalając na przejawianie, a w dużej mierze nawet na zaspokajanie popędu. Godzono się tam m.in. z przed-

małżeńskim życiem panien, a biografie matki i starszej siostry, jak również dalszych krewniaczek, np. stryjenki księżnej Anny Mazowieckiej, wskazują, iż hołdowały one pewnej swobodzie, a nawet, stosując kryteria obowiązujące w Polsce, rozwiązłości. Te wzorce musiały na nią oddziaływać. [...]

Na sporą ilość miłosnych związków Barbary wskazują źródła, rozmaite informacje i opinie. Znamienne, że doniesienia te potwierdzają się, uzupełniają, nie ma zaś pełnych wiadomości, by uznać je za całkowicie nieprawdziwe. [...]

Życie erotyczne rozpoczęła Barbara dość wcześnie. Pierwsze informacje na temat jej „swobodnego prowadzenia się" pochodzą z grudnia 1537 roku, czyli z okresu, gdy miała 17 lat i kiedy nikt nie przypuszczał, że zostanie kiedyś królową. Swatano ją wówczas księciu Ilii Ostrogskiemu, który jednak nie chciał ani jej, ani jej starszej siostry Anny, woląc słynną Beatę Kościelewską. [...] Nie znamy dokładnie przebiegu jej młodocianych amorów. Wydaje się jednak, że kochała się chętnie i często. Według krążących wersji nie zmieniła sposobu życia jako mężatka. Głoszono, iż będąc za Gasztołdem, żyła rozwiązle, romansując z licznymi kochankami. Trzeba podkreślić, że z mężem nie wiązało jej uczucie. Jej małżeństwo stanowiło rezultat nie miłości, lecz rodowo-politycznych układów, stąd też trudno chyba wymagać, by zachowywała wierność mężczyźnie, którego jej narzucono, który był jej obojętny, a może nawet wywoływał odrazę. W poezji XIX-wiecznej słyszało się głosy, iż związek z rzekomo wiele starszym wojewodą był białym małżeństwem, że Radziwiłłówna wyszła zeń niewinna. Są to oczywiście bajki, źródła na ten temat nic nie mówią. Odwrotnie, wiadomo, że Gasztołd w chwili zaślubin był mężczyzną młodym, liczył około 29 lat, zmarł nagle po krótkiej chorobie. Wszystko wskazuje, iż Barbara współżyła z nim cieleśnie i podczas tego związku pogłębiła swe alkowiane doświadczenia. Swoją drogą pan wojewoda nie okazał się mężczyzną nienasyconym, bowiem małżonka, jak się już rzekło, miała czas i chęci na amory z amantami. [...] Po przedwczesnej śmierci wojewody ponoć jeszcze bardziej uprawiała miłostki, z którymi się wcale nie kryła. Jeśli na Litwie nie stanowiło to znów jakiegoś ewenementu, aczkolwiek nie można twierdzić, by tak postępowały wszystkie możne niewiasty, to budziło jednak zgorszenie i dezaprobatę kręgów polskich. O jej postępowaniu nie miało dobrego mniemania wielu dworzan polskich otaczających Zygmunta Augusta, którzy przenosili swe opinie do kraju. Najgorsze wyobrażenie miał o jej kondulcie zwolennik surowej, tradycyjnej moralności, przy tym człowiek zrzędny i zgryźliwy, kanonik Stanisław Górski. [...]

Wiele wskazuje, że niejeden mężczyzna, i to niekoniecznie wysokiego rodu, został uszczęśliwiony przez kochliwą wojewodzinę. Znamienne, iż później ani Barbara, ani król nie dementowali tych pogłosek, wypowiadanych nawet przez dygnitarzy państwowych, nie inscenizowali jakichś procesów mających na celu dowiedzenie oszczerstw, a tym samym oczyszczających królową. Milczenie ich można tłumaczyć wzgardą, z jaką traktowali te ataki, innym klimatem kulturowym, który nie dopuszczał, by sprawy alkowy królowej rozstrząsać na forum publicznym. Bardziej prawdopodobne wydaje się wszakże przypuszczenie, że ich milczenie spowodowane było obawą, iż proces może potwierdzić oskarżenie. Należy także pamiętać, że wychowana w innych poglądach i stosunkach Barbara nie uważała prawdopodobnie, by z tych spraw musiała się tłumaczyć, traktowała je jako przeżycia dość naturalne. [...]

Jej popęd wydaje się mocny, lecz nie patologiczny, w latach późniejszych całe miesiące żyła w abstynencji seksualnej. Nie należy też uważać jej za pozbawioną wyższych uczuć rozpustnicę. Nie słychać, by trwale przywiązywała się do jakiego kochanka, co wskazywałoby na przede wszystkim zmysłowy i krótkotrwały charakter tych związków. Być jednak może, że po prostu zatarto ślady jej poprzednich miłości. Po prostu nie wypadało, by przed Zygmuntem Augustem kochała innego mężczyznę! Jej późniejsze dzieje wykazują bezspornie, że była kobietą bardzo uczuciową, nie tylko kochaną, lecz kochającą, oddającą się bez reszty wielkiej miłości. [...]

Przyjrzyjmy się z kolei, jaki był człowiek, którego los stawiał na drodze życia naszej bohaterki. Był nim sam Wielki Książę Litwy i Król Polski Zygmunt August. [...]

Zygmunt August stanowi kontrowersyjną postać naszych dziejów. Opinie historyków o nim są rozbieżne, od bardzo pochlebnych do krytycznych, negatywnych. Kontrowersje dotyczą jednak jego działalności społeczno-politycznej — roli dziejowej.

W. Ł. (cdn.)

CMS. 2552/1982/2